

M.L.

LUK

postawienie ~~funkcyj~~
Archiwum Wschodnie 113

Maria Magdalena Lukas, 15 X 1913, Adam i Bronisława, inteligentkie, mieszkałam we Lwowie, pracowałam jako dziennikarka w "Słowie Narodowym" we Lwowie, wykształcenie niepełne humanistyczne (UJK), Młodzież Wszechpolska i Stronnictwo Narodowe.

ARCHIWUM WSKRODNI

108

Mieszkałam we Lwowie od r. 1914, gdy Rodzice przenieśli się z Brodów (ojciec jako młody urzędnik austriacki odbywał "staż" na prowincji, początkowo w Czortkowie, potem w Brodach, gdzie razem z innymi Polakami wybudował w tym zażydżonym i ukraińskim mieście gmach Sokoła. Miałam pod opieką w latach wojny rodziców, poza tym we Lwowie mieszkała starsza siostra Ewa Grzymalska z rodziną, brat Wincenty z żoną i młodsza siostra Jadwiga Flasińska z mężem.

Wkroczenie Armii Czerwonej było straszliwym przeżyciem. Pierwsze czołgi Armii Czerwonej zobaczyłam na ul. Jabłonowskich. Ludzie stali w niemym milczeniu, na czołgi sypały się żydowskie kwiaty. Był to niesamowity wstrząs. Jak ich zobaczyłam na tych czołgach dostałam jakiegoś ataku hysterii, do rzeczywistości przywrócić się pomógł mi kolega. Mieszkałam na ulicy odległej od tych głównych dróg Lwowa. Jeżeli się ich widziało, to na tych głównych drogach; myśmy uciekali, nie chcieliśmy ich widzieć. Jak już wspomniałam zobaczyłam ich na ul. Jabłonowskich, na czołgach siedzieli mężczyźni i kobiety, co po raz pierwszy widziałam, bo nie widziałam jeszcze, żeby baby siedziały na czołgach w mundurach. Byli ci żołnierze często na boso ich szynale, płaszcze były brudne i obstrzępione, nie były poobrubiane, to zwróciło naszą uwagę.

Pierwszy okres po zajęciu Lwowa cechowało przerażenie i oczekiwanie czegoś najgorszego, albowiem nasłuchaliśmy się i naczytaliśmy mnóstwo o bolszewikach. Najważniejszą sprawą było ustabilizowanie się w nowych warunkach, a więc zapewnienie sobie mieszkania i pracy, zwłaszcza że na miasto runęła fala "bieżących", z którymi trzeba było dzielić się mieszkaniem, i jedzeniem. Po bombardowaniu miasta sprwadziła się do nas (ul. Krasińskiego 15) rodzina znajomych z Kwiatkówki, mieszkali też uchodźcy ze Śląska.

Zanim przyszło jakie ~~takie~~ rozeznanie, zaczęły się wywózki i aresztowania. Najstraszniejsze były noce, gdy bez najmniejszego szelestu podjeżdżały na ulice ciężarówki sowieckie i w głębokiej nocnej ciszy zaczynały się łomotania karabinów do bram i mieszkań. Ludzie dostawali szoku i zawału serca. Z naszej willi wywieziono właścicieli, inż. Rogalę i jego żonę Janinę, mieszkanie zajęli bolszewicy - Grigorenko z żoną i dzieckiem. Szwagier Rogali, mec. Zdzisław Atlas, zginął ~~prx~~ prawdopodobnie w Katyniu lub innym miejscu kaźni polskich oficerów. Ze względu na konieczność posiadania "bumażki" z miejsca pracy, zaangażowałam się w roli robotnicy fizycznej w ogrodach na Zamarstynowie które odebrano ich właścicielom, pozostawiając ich w roli "brygadierów" ogrodniczego "artielu". Pracowali tam przedstawiciele (wyłącznie inteligencji. Było to przy ul. św. Marcina, u Mieczysława Waluszewskiego. ~~Pozam~~ pracowali tam m. in. inż. Stanisław Nahlik (obecnie Balice pod Krakowem), dr Martyna Puzynia (zm. w Londynie), niej. p. Płoński z dawnego Magistratu, Zofia Wandyszówna, ziemianie Anna i Kazimierz Mieczychowscy z córką, inż. Juliusz Szczygieł i inni. Początkowo nie było mowy o żadnej konspiracji. Wszyscy błakali się bezradni i przerażeni, albowiem ze wszystkich stron dochodziły wiadomości o aresztowaniach i wywózkach. Pierwsze nazwisko, które usłyszałam, to był Zygmunt Łuczkiwicz z ul. Krasińskiego, mąż Danuty Lachowskiej, która zginęła w pierwszych dniach bombardowania, zostawiając 2 córeczki. Potem nastąpiła lawina nazwisk: mec. Kazimierz Kobyłański, rodzina Weisów z ul. Kurkowej: Mieczysław(?)?, Jan, ich stryj i kuzynka, Tomasz Fredro i mnóstwo innych. Byliśmy przerażeni i zastraszeni. O żadnej konspiracji początkowo nie słyszałam. A gdybym nawet gdziekolwiek "należała", to na pewno nie znałabym ani nazwisk, ani pseudonimów. Moja praca początkowa - to kontakty z uczennicami szkół średnich i ze znajomymi, z którymi wymieniało się wiadomości, udzielało wzajemnej pomocy itp. A przyczyn do takiej pomocy było bardzo dużo. Jeden potrzebował lekarstw, inny ktoś z kół^o chciał kogoś znaleźć itp. Żadnych kontaktów z władzą radziecką nie miałam poza tymi, ~~do któ-~~
~~rych zmuszało~~
~~XXXXXXXXXXXX~~

do których zmuszało załatwienie pozwolenia na paczki do więzienia lub na wysyłkę do Tarnopola, bo tylko w Tarnopolu przyjmowano takie przesyłki na wschód.

Aresztowano mnie dopiero podczas drugiej fali okupacji sowieckiej, 14 sierpnia 1944. Podczas okupacji niemieckiej byłam już w konspiracji, należałam do redakcji podziemnego pisma "Słowo Narodowe" i "Walka" (zastrzegam się, że mogłam pomylić tytuły, bo kolportowało się tego znacznie więcej i nie pamiętam już, gdzie pisałam, w każdym razie redagował to pismo medyk Stanisław Buryło; wrócił po kilkunastu latach ~~xxxx~~ z Workuty i zmarł we Wrocławiu, pozostawiając żonę i 4 dzieci - żona była też w lagrze, ale na głębokiej Syberii, jeszcze jako Romualda Krzywoszyńska, córka wojskowego z Kwiatkówki we Lwowie). Być może, że aresztowanie to miało związek z prasą podczas okupacji niemieckiej, a może było tylko efektem ogólnej "czystki" sowieckiej we Lwowie.

W "mojej" grupie była aresztowana rodzina Nowakowskich z ul. Zamkowej - S. Buryło, Barbara, Krystyna Nowakowska, ich brat Mieczysław i ojciec Jan. (Do kraju powróciła trójka młodych, ojciec zmarł w lagrze).

W więzieniu przy ul. Łąckiego było mnóstwo ludzi, m. in. Maria Lach (łączniczka Ostrowskiego, który wyszedł na wolność po jakichś rozmowach z bolszewikami), wkrótce zwolniona, dwie siostry Turczak, Krystyna i Danuta, ich matka i brat (brat zginął w ~~wixixixixix~~ transporcie na wschód zaatakowany przez współwięźniów, co zdarzało się bardzo często). Lista więźniów jest olbrzymia, m. in. w celi obok (ja siedziałam w celi nr 4 obok siedział prof. Kazimierz Brończyk).

Pobyt w więzieniu był straszny. Spałyśmy w niesamowitej ciasnocie na ziemi, z pchłami, pluskwami i stonogami, które łaziły po nas, pod "panszą", na której nie wszystkie umiałyśmy się początkowo załatwić, zanim nie nabrałyśmy we wszystkim rutyny. Były wśród nas także Ukrainki ze wsi, m. in. Kasia Beniowska. Dopóki ~~xxxxxx~~ były tylko te "proste" Ukr., dopóty żyłyśmy w zgodzie, wspólnie się modląc i dzieląc jedzeniem przysyłanym przez rodziny. Ale gdy przyszła ukr. "działaczka" Wiera Litwin wszystko się znieniło - buntowała przeciwko nam i sprowokowała wrogi stan. Atmosfera w celi była znakomita, dopóty nie zaczęto nas wywoływać na "doprosy", zawsze w nocy, do innego budynku.

Trudno pisać o szczegółach - niektórych mężczyzn bito, z kobiet niemal wszystkie Ukrainki. Ukraińcy byli katowani za to, że współpracowali z Niemcami, przecież nie dlatego, że byli polskimi obywatelami. Katowali ich Ukraińcy, którzy byli po stronie Sowietów. Kobiety raczej mniej katowano, dopóty nie wymordowano całej ich masy w więzieniach we Lwowie; zaczęto później wymordowywać. Kobiety Ukrainki widziałam jak były pośniewane, pobijane, fioletowe od pobicia. Mężczyzny Ukraińca nie spotkałam żadnego w czasie mojego etapu więziennego i później lagru. Poza celą, nic nie mogłam widzieć, w nocy dyżurny prowadził na śledztwo i odprowadzał. Nic więcej nie mogłam widzieć.

Wymordowywano w sposób straszny np. na Zamarstynowie żeby sobie uprościć procedurę zrobili otwór w podłodze - strzelali na górze zrzucając ciało w dół do piwnicy i tam zrobiła się piramida ciał, nawet jeszcze żyjących. Potem jak przyszli Niemcy dopuścili ludzi do szukania swoich bliskich, tam właśnie pani Strychalska, moja znajoma szukała swojej córki /mojej rówieśnicy/. Niemcy nie pozwolili grzebać tam, bo ciała były w rozkładzie. Całe miasto śmierdziało trupami i oni to wszystko zalali wapnem. Nie znaleźli tam żadnego ciała ze swoich bliskich, tylko poznali po kocu i swetrze, że była tam też Zosia Strychalska - ich córka. Na Zamarstynowie chodziło się po korytarzach w których było pełno krwi i ciał. Jak przyszli Niemcy Polacy z ulicy usiłowali tych którzy się jeszcze uratowali wypuścić na wolność, no to jedna z moich młodszych koleżanek, też nie wiedziałam, że wtedy siedziała - dowiedziałam się o tym po wojnie ukryła się za drzwiami celi, że jej nie zobaczono, gdy zabierano wszystkich do rozstrzelania, ~~axwxz~~ a wszystkich rozstrzelali na podwórzu i na korytarzach i jak już ucichło i przyszli Polacy otworzyć cele tych, które nie były jeszcze otwarte, ona uciekła. Dostała szoku, zaczęła się strasznie śmiać, tak, że dopiero jakichś człowiek uderzył ją w twarz i ona dopiero wróciła do siebie. To były straszne rzeczy i myśmy właśnie w takiej atmosferze żyły.

Podpisywałyśmy wszystko czego chciano, aby tylko mieć wreszcie spokój z "doprosami", które były okropne. Trwały do świtu, siedziało się na

stołku bez oparcia, "sledowateel" bez przerwy bawił się automatem i obrucał więźnia stekiem ordynarnych wyzwisk. Bez powtarzali jedno pytanie: "no skazży, no skazży", a my ciągle: ja nic nie wiem, ja nic nie wiem. Było to w kółko Macieja. Potem zaszantażowali z miejsca, że zaresztują ojca, matkę, rodzinę, zresztą to była często prawda. Na początku tylko zaaresztowali szwagra i siostrę, potem siostrę puścili. Było to strasznie męczące, dlatego, że śledztwo było zawsze w nocy i trwało przez całą noc. To wystarczyło, wtedy nie trzeba bić człowieka, ani nic, człowiek tego fizycznie nie wytrzymał.

Śledztwo zakończyło się późną jesienią. Trzech "sędziów" w piwnicy więziennej na Łackiego "odprawiło" sąd. Ale ponieważ nie wierzyliśmy w żaden wyrok w 1944 r., znakomicie bawiliśmy się, co "sędziów" chole- rnie irytowało. Taka np. scena: tłumaczka-Żydówka czyta m. in. artykuł Stanisława Buryły z jakiegoś niedawnego numeru gazety pt. (o ile pamiętam) "Sierpem i młotem". W pewnym momencie pyta: "Czy mam czytać dalej" - a my wszyscy: "dalej! dalej!" No i dostałyśmy po 10 lat lagru "sprawitelnego", a Buryło 15 lat o zaostrozonym reżimie. Po wyroku ~~zostały~~ zostałyśmy ukokowane w innej celi - od ul. Sapiechy, gdzie była już spora grupa innych kobiet z wyrokami. W tym nowym budynku nie groziły już nam wprawdzie nocne śledttwa, ale za to towarzyszyły nam wycia innych więźniów, albo katowanych, albo już obłąkanych.

Muszę jeszcze wrócić do okresu śledztwa: dyżurowali na korytarzach byli więźniowie sowieccy, z których jedni byli dla nas względni, inni chamscy. Byli gorsi i lepsi dyżurni. Był taki jeden Rosjanin, starszy już człowiek, który odsiadywał-odprawiał swój wyrok będąc właśnie dyżurnym, nazważyśmy go Papasza i który nam niesamowicie współ- czuł. Potem jak szłyśmy na Pełtewną, to nam jeden z tych Moskali dał bochenek chleba, powiedział, że nam to będzie potrzebne. Okazywali nam niektórzy dużo współczucia, wiedzieli, że siedzimy za nic. Ale, to tylko niektórzy byli życzliwi, niektórzy byli wstrętnei. A 2

Gdy był na dyżurze człowiek ludzki, pozwalał nam wyjść na korytarz, by umyć podłogi, co było dla nas ogromną frajdą, bo wówczas można było zajrzeć przez "judasza" do innej celi i przekonać się, kto jeszcze si

siedzi. Czasem szło się do innego budynku, do sal, gdzie odbywały się nocą przesłuchania. Wtedy można było trafić na ogromne masy skonfiskowanych fotografii podczas rewizji w domach. Gdy tylko się dało, zabierałyśmy, ile można, odbitek i niszczyłyśmy w celi, wrzucając podarte do paraszy. Ogromne skarby poszły w ten sposób na zatracenie, ale obawiałyśmy się, aby po nitce do kłębka nie szukano na podstawie fotografii innych "przestępców" z paragrafu 54a, czyli "zdrady ojczyzny". Pobyt w więzieniu był dla nas straszniejszy, że pamiętamy, pamiętaliśmy, co stało się z Polakami, którzy byli na Łąckiego, w Brygidkach i na Zamarstynowie przed przyjściem Niemców w 1941 r. Przecież wtedy pomordowano setki ludzi, spośród moich przyjaciół Kazimierę Jagniewską z ul. Janowskiej, abs. UJK, też absolwentkę UJK Zofię Strychalską- Reubenbauerową, której brat, Stanisław Strychalski cudem uciekł z Brygidek, a współwięźniarka Kazimiery Jagniewskiej na Łąckiego, uciekając z więzienia broczyła po kostki w krwi. Trudno o tym wszystkim pisać i mówić w ankiecie, wymaga to osbnej epopei, w rodzaju "Innego świata" Herling-Grudzińskiego.

Ci sędziowie, którzy nas "sądzili", to byli ludzie strasznie prymitywni; bez żadnego wykształcenia, absolutnie. Oni tylko swoją pewną formułkę i automat na stole, więc wiadomo było, czym, to grozi. Rozprawa to była zwykła formalność, wyrok był z góry przecież ustalony, dostawało się po 10, 15 lat i koniec. Nie było niższych wyroków. Wszyscy byli "zdrajcami ojczyzny", z tego wszystkiego nie było żadnego wyjścia, każdy przez to wszystko jakoś musiał przejść. To były kpiny. Z więzienia na Łąckiego przegnano nas początkowo na Pełtewną, w czym udział brali nie tylko moskale, ale i wilczury, które biegały wokół nas. Pognano nas na Pełtewną, gdzie za Niemców było getto żydowskie w dawnych domkach kolonii magistrackiej. Tam spotkaliśmy tysiące innych więźniów oraz za drutami kolczastymi - pod gołym niebem - tysiące jeńców z frontów. Okazało się jednak, że z jakichś powodów nie możemy tam zostać i w najstraszniejszą zimową pogodę, w śniegu i w błocie gnano nas ulicami Lwowa na koniec Janowskiej, gdzie też były żydowskie baraki. Tam byliśmy kilka potwornych - bez jedzenia

bez możliwości przespania się na ziemi choćby. Przeszliśmy pierwszy lagierny tam szok: okazało się, że wszyscy więźniowie muszą być goleni na całym ciele, a żeby pobańbić bez reszty godność, mężczyźni golili sowieckie kobiety (jeżeli w ogóle miały coś wspólnego z kobiecością), kobiety natomiast polskie musiały poddać się tej operacji, którą na odmianę sprawowali mężczyźni - i to tym razem nasi koledzy-Polacy. Był to potworny szok, jeden z najstraszniejszych, jakie musiały przeżyć polskie kobiety w lagrach sowieckich.

I znowu pognano nas po kilku dniach na Pełtewną, gdzie wreszcie mogliśmy spocząć w jako tako uporządkowanych domach, śpiąc oczywiście na podłodze, ale to było najmniejsze zmartwienie. Kierownikiem tego lagru "peresyinego" był niej. Abakunin, chyba Gruzin, człowiek dla Polaków nie najgorszy; "politycznym" tzn. NKWD takim, który tropił więźniów, był Cywulin, poza tym Jakąś funkcję miał Dimurin, najlepszy i najżyczliwszy dla Polaków. Jego żona - Żydówka z Odessy - była lagrową lekarką.

W lagrze były setki problemów do rozwiązania, które w jakiś sposób wpłynęły na losy przynajmniej pewnej grupy Polaków. Ponieważ kolonia magistracka była zdewastowana podczas pobytu tam Żydów, nasi więźniowie znaleźli się ~~w brygadach~~ w "brygadach" kanalarzy, elektryków itp. dzięki czemu krążyli po całym obozie i byli łącznikami między poszczególnymi więźniami. Do nich należał m. in. Łazoryk, Mirosław Wigierski Emanuel Pokryszko, Zygmunt Procko i mnóstwo innych, których nazwisk w tej chwili nie pamiętam. (m. in. był niej. "Duncio" Marut).

Ponieważ w lagrze na Pełtewnej były tysiące więźniów i jeńców bez butów, a miało się ku ostrej zimie, władze lagrowe zmuszone były poszyć im na nogi jakieś namiastki obuwia, inaczej bowiem nie mogły wysłać tych ludzi na "etap". Ponadto wszyscy Moskale z administracji korzystali z usług krawieckich niektórych świetnie szyjących Polek, tak że dzięki umiejętnościom np. Wity Wasiuczyńskiej, z zawodu krawcowej, powstała w jednym z baraków "pracownia krawiecka" tejże Wity, gdzie szyto nawet płaszcze dla Moskali, a z pracowni wyłoniła się inna - pracownia naprzód pantofli, a potem lalek itp. Ponieważ kiero-

-wnik lagru zwrócił się do mnie o zorganizowanie takiej pracowni, obiecałam pomoc pod warunkiem, że pozwoli mi pojechać do domu i przywieść odpowiednie akcesoria. Zgodził się i pod konwojem, który zachowywał się niesłychanie przyzwoicie, odwiedziłam swój dom na Krasynskiego i wzięłam wszystko, co było potrzebne do szycia pantofli. Gdy mieszkańcy Lwowa dowiedzieli się o mojej inicjatywie, zaczęli przysyłać nam do lagru na Pełtewnej masami materiałów w rodzaju koronek, szmatek, futer itp., tak że w naszym baraku pod sam sufit wznosiła się piramida najwspanialszych materiałów.

W pracowni "lalek" znalazły się m. in.: Wiesia Piszczyk (mistrzyni lalek artystycznych), siostry Nowakowskie, nazywane przez moskali "krasawice" (były b. ładne), Danuta Turczak, Jadwiga Gamska, Anna Szymczyk i inne, których w tej chwili nie potrafię wymienić. Dzięki tej pracowni i dzięki stałemu "zapotrzebowaniu" na sukienki, bluzki i lalki ze strony moskalek i moskali, żyło się nam na Pełtewnej nie najgorzej, zwłaszcza że jeden z sowieckich więźniów razem z Polakami zainstalował w naszym baraku aparat radiowy i mieliśmy na bieżąco wiadomości z frontu, a więc żywiliśmy nadzieją, że wkrótce nas wypuszczą. Co się jednak stało, ponieważ 18 Polaków i jeden "ruski", niej. Sabarowski, uciekli kanałami na Pełtewną, które odkryli podczas robót kanalizacyjnych. Za karę - po niesłychanym rwetesie (przyjechali "komisja" do zbadania sprawy z Kijowa) wysłali prawie wszystkich Polaków etapem na Ural. Zanim to jednak nastąpiło opiszę dokładniej tę historię, powrócę do pobytu na Pełtewnej: ponieważ należałam do najpopularniejszych (jeśli nie byłam najpopularniejszą) Polek na Pełtewnej, wokół której skupiali się inni Polacy, enkawudzista "polityczny", Cywulin, wezwał mnie pewnego razu do siebie i zażądał, abym została kapusiem, wykazując w ten sposób wierność dla ZSSR. Oczywiście przy akopaniamencie pogroźek pod adresem mej rodziny. Gdy stanowczo odmówiłam, zaczęła się niesamowita historia: niemal co noc "porywano" mnie z baraku na etap, i co noc zaalarmowany Dimurin wyciągał mnie z etapu! tak trwało to przez kilkanaście dni aż do kompletnego mego wyczerpania psychicznego.

I wówczas właśnie postanowiono wysłać "za karę" wszystkich Polaków. Stało się to 22 listopada 1945. Gnano nas znowu przez całe miasto na Dworzec Czerniowiecki w towarzystwie konwojentów i sfory psów. Na chodnikach stali mieszkańcy miasta, wśród nich wielu krewnych więźniów, dzięki czemu dowiedziano się ~~xx~~ w mieście o naszym zesłaniu. Na dworcu czerniowieckim siedzieliśmy na ziemi przy wagonach zwierzęcych, do których ładowano po 40 osób przeciętnie. Inny konwój - etapowy - odebrał już nas z rąk konwojentów z Pełtewnej. Wówczas przechodził obok siedzących Polek Dimurin i zagadnął mnie: "Magdalena, już nic dla was nie mogę zrobić". Wtedy coś mi strzeliło do głowy i poprosiłam, aby zrobił dla nas coś jeszcze: abyśmy wszystkie Polki pojechały w jednym wagonie. Sprawa nie była prosta, bo należało przetasować wszystkie dokumenty, przekazane już następnemu konwojowi. Jednakże Dimurin zrobił to i naszą dużą grupą Polek znalazła się w jednym wagonie. Był to niewątpliwy sukces, albowiem dochodziły nas przerażające wieści o maltretowaniu się wzajemnym zwłaszcza mężczyzn, których moskale po prostu mordowali i wyrzucali potem z wagonu na śnieg. Tak skończył młodzieutki Turczak. ^{alternaty.} + 61, 21

Wagon ^{był} ^{co} typowy: zamiast ubikacji drewniana rynna uchodząca na zewnątrz, w środku coś w rodzaju pieca, wokoło pod ścianami - jedna przy drugiej - więźniarki. Przez malutkie okienko /wagon bydlęcy) niewiele można było zobaczyć. Nie było miejsca do leżenia, nie było możliwości rozebrania się czy umycia, oblaży nas wszy i gryzły niemiłosiernie, nie można było korzystać z "ubikacji", czyli drewnianej rynny, ponieważ szybko zamarzała, gdy jechaliśmy na wschód i każda z nas przeżywała nieludzkie cierpienie, nie mogąc pójść ~~xxx~~ ani z moczem, ani z kałem. Była to podróż makabryczna, trwająca ~~xxx~~ przypuszczalnie 3 tygodnie, bo na Ural przyjechałyśmy przed samym Bożym Narodzeniem. Najstraszniejsze były noce, gdy bowiem którakolwiek oparta o ścianę wagonu usnęła lub trwała w półświadomości, budziło ją walenie młotem w ściany wagonu. Miała wtedy taka doli-kwenka po takim uderzeniu na tydzień dosyć. W ten sposób żołdacy próbowali, czy przypadkiem nie naruszono desek i nie próbowano

znacznie gorsze niż twarda podłoga. Jedzenie było straszne. Jeszcze - jak długo lager miał amerykańskie zapasy owsianki - czasem ją można było dostać na obiad. Przeważnie była to sama woda, w której pływały oka ryb, śmierdząca i nie gasząca ani głodu, ani pragnienia. Dwa razy dziennie dawano pajki chleba, czarnego i lepkiego, ale Polki, jako fatalne robotnice fizyczne, dostawały najmniejsze porcje, bo nie zarabiały na większe.

Ratowali nas Niemcy nadwożañcy^s, którzy od początku wojny niemiecko-sowieckiej zostali przesiedleni ze swojej republiki nadwożañskiej. Sami mężczyźni wieku "produkcyjny". Przywiezono ich na Ural w liczbie kilku tysięcy. Gdy zostali zdemobilizowani^{li} - stanowili już małą, kilkuset osobową grupę, ponieważ wszyscy inni wymarli z zimna i głodu, ponieważ nie mieli na początku swej uralskiej kariery ani baraków, ani jedzenia, Wyginęły wtedy wszystkie jadalne zwierzęta, ścięto wszystkie drzewa, które miały cokolwiek do ofiarowania, a więc szyszki czy takie jagody, jak jarzębina.

Ci Niemcy byli tragiczni. Jedni sprawowali funkcje lekarzy obozowych (u nas Władimir Szmid, z zawodu weterynarz, niesłychanie życzliwy dla więźniów, m. in. dla Polek, które ratował jak mógł przed trudami lagru), inny z tzw. dziesiątników, czyli kierowników brygad, którym przekazywali do wykonania odpowiednie odcinki pracy i wyceniali ich robotę. Naszym dziesiątnikiem był Kostia Szlej, niesłychanie przyzwrotny człowiek, który z narażeniem się na konsekwencje, b. przykre, ratował jak mógł Polki, widząc, że nie dają sobie rady z pracą ponad ich siły. Byli to wspaniali Niemcy. Kiedyś - o czym dowiedzieliśmy się przypadkowo - policzył nam więcej odrobionej "normy", za został ukarany odebraniem normalnego przydziału żywności.

Lager w Połowince miał dostarczać na budowę elektrosiłowni drewna w postaci bądź całych okorowanych świerków, bądź w postaci desek tartych na sąsiadującym z lagrem tartaku. Polki - było nas 45 - podzielono na dwie brygady. W jednej z nich ja byłam brygadzystką. Chodziłyśmy w dzień na wyrąb lasu, na oczyszczenie drogi z lodu i śniegu, do tartaku na cięcie desek lub do ładowania olbrzymich wagonów I3-

13-metrowymi kłodami świerków lub desek na budowę elektrosiłowni. Trudno powiedzieć, która praca była "najłżejsza" - na pewno najcięższa na drodze, na której trzeba kilofami było rozbijać kilkumetrowe grubości lód - i to tak, aby nie "popsuć" tak drogi, aby olbrzymie transportowe auta (amerykańskie) nie utknęły w koleśkach. Najłżejsze było usuwanie śniegu, ale wszystkie normy były ponad nasze siły. Straszliwe było karczowanie pni zimą, gdy korzenie były twardsze niż najtwardsze szkło i nie podobna było cokolwiek z nimi zrobić piłami, notabene tak tępyimi i nie nadającymi się w ogóle do pracy, że trudno opisać. Najchętniej szliśmy na wyrąb drzew do lasu, bo chociaż nie mogliśmy marzyć o dorównaniu Rosjankom czy Łotyszkom, to przynajmniej otoczenie drzew i długa droga tam i z powrotem łagodziła ten wysiłek, którego wymagał "lesopowal".

Bywały i lepsze dni - gdy np. posłano nas na sianokosy. Siana wprawdzie nie było niemal wcale, ale norma przewidywała 2 t dziennie na brygadę. Jak zresztą w każdym przypadku, wszędzie szachrowało się to znaczy robiło się "tuftę". Wszystko polegało na szachrajstwie. Można jednak było trafić na fantastyczne malinkiniaki z owocami takimi, jakich w ogóle nigdy nie widziałyśmy w Polsce, albo na grzyby - fantastyczne podpieńki, pokrywające całe łąny, tak że rwałyśmy tylko czapeczki bez korzonków i przynosiły masami do lagru, gdzie potem niestety dzień w dzień musiałyśmy jeść zupę, pseudozupę z tych grzybów, co nawet w lagrze na Uralu tam się przejadało. Ale zarówno maliny, jak i grzyby ratowały nas niejednokrotnie ~~w takich~~ w takich sytuacjach, o których tutaj wspominać trudno, bo są tematem - rzeką.

Jak już wspomniałam lager na Uralu zaczął się od przesiedlonych Niemców nadwołżańskich. Był tam wtedy tylko las i nic więcej. Oni przygotowywali teren pod przyszłe obozy więźniów, które były rozsiane po całej okolicy. Gdy Niemców zdemobilizowano, na ich miejsce w roli kierowników robót przyszli więźniowie - Łotysze, pierwsi mieszkańcy jednego baraku mężczyźni. Byli to znakomici gospodarze i znakomici kierownicy robót. Mężczyźni piękni, ogromnego wzrostu, u siebie na Łotwie

a także najrozmaitszych "skeczów" znanych z wolności, że "naczelstwo" lagrowe wywierało presję, aby Polki urządzały "koncerty", co zresztą zdarzyło się parokrotnie. Nazywano nas w ogóle "artystkami". Nie tylko tak. Zdarzało się nam słyszeć, gdy miałyśmy w lesie np. w lesie brygadę Łotyszy, słowa: "eto zo wsiem drugoj naród", a nasz dziesiętnik Kostia Szlej z rozpaczą w głosie zauważył raz, że jesteśmy zupełnie inne niż kobiety sowieckie. I dodał: "co ten reżim zrobił z kobiet rosyjskich??". I rzeczywiście, nasza 45 - osobowa grupa Polek, przeważnie młodych i często b. ładnych, wyróżniała się na Uralu pod każdym względem - poza oczywiście wykonaniem "normy", bo to było ponad nasze siły.

/Uwaga: życie na Uralu było tak bogate pod każdym względem, że nie można ująć tematu w sposób ankietowy. Przyp. autorki./

Jak już wspomniałam, wywieziono nas na środkowy Ural, nad rzekę Kamę, na której budowano tamę. Była to "obłast" permska. Jechałyśmy w powrotnej drodze przez Gorki i Orel. następnie Moskwę. Lager leżał w lesie w dużym stopniu już zdewastowanym, w bardzo pięknej okolicy, przypominającej nasze Beskidy wschodnie. Nie było żadnej fauny, a z flory też niewiele pozostało, bo przed nami żyli tu w prymitywnych warunkach Niemcy nadwoźniacy, którzy z konieczności wytrzebili wszelką zwierzynę i wycięli drzewa. W żaden sposób nie potrafię dziś określić położenia wielkości itp. lagru. Dochodziła do niego bocznicą kolejowa, bo znajdował się tam tartak, z którego wywożono drewno w rozmaitych postaciach. Obiekt został założony przez wspomnianych Niemców, przesiedlonych tu po wybuchu wojny sowiecko - niemieckiej. Nie było żadnych kobiet, wyłącznie mężczyźni w wieku "produkcyjnym" - naprzód przygotowywali teren, budowali baraki i drogi (ułożone z bierwion świerkowych podłużnie - nieporzecznie!), następnie zostawali "dziesiętnikami" kierującymi robotami. Wyróżniali się zdecydowanie inteligencją i pracowitością wśród ruskich. Między sobą mówili po niemiecku, ~~xx~~ rządziej po rosyjsku.

W lagrze było kilkanaście baraków przy wyłożonych drewnem uliczkach. Mieszkały tam "polityczne" (par. 54a, zarada ojczyzny) - jak Ukrainki

Lotyszki, Polki, i "błatnyje", czyli zwykle kryminalistki, morderczynie itp. Straszny element, dla nas stanowiący egzotyczną nowość. ^{D₂} ~~E₁~~
Praca w lagrze polegała na: "lesopowola", czyli ścinaniu ogromnych świerków (norma 6 na osobę z okorowaniem), spławianie ich rzeką, stojąc po pas w wodzie, ściąganie końmi z lasu, oczyszczaniu w zimie drogi z lodu i śniegu, karczowaniu pni pozostawionych przez "lesopowalczyków", sianokosach, itp. Warunki pracy były okropne, ponieważ brakło odpowiednich instrumentów, jak piły, siekiery, kilofy, a poza tym moskalki zarządzające "instrumentałą" dawały nam najgorsze narzędzia, licząc na łapówki. Najstraszniejsze było ładowanie na tartaku olbrzymich wagonów - cystern bierwionami lub deskami tak oślizgłymi od mrozu, że całe wagony ułożonych desek rozsypywały się nam pod rękami. Cdyby nie Lotysze, którzy po Niemcach zostali kierownikami robót, nie potrafiłybyśmy nigdy wykonać robót na tartaku. Wolałyśmy las. Oczywiście w lesie nie było mowy o "normie" 6 drzew wykonywała ją tylko jedna Gruzinka, Klawa Kowalowa, której obiecywano "za to" skrócenie wyroku (20 l.). Takie stachanowki nigdy zresztą nie skorzystały z obiecanego przedterminowego zwolnienia, bo po kilku latach wykonywania normy schodziły do rzędu "dochodiagów" i umierały przedwcześnie. Wydarzeń w pracy było mnóstwo: upadki z wagonów, połamane nogi (Lotyszka), porażenie prądem na tartaku itp. itp. ~~A₁~~; ~~B₁~~; ~~E₂~~

Do lagru w Połowince przyjechałyśmy w 45 - osobowej grupie w grudniu 1945. Była głęboka uralska zima. Przeważały młode dziewczęta około 18- 20 lat, kilka kobiet było starszych. Prócz kilku kobiet "przypadkowych" wszystkie oskarżone o AK i wszystkie z inteligencji. /nazwiska w załączeniu/. Prawie wszystkie były ze Lwowa, 2 z Wilna, kilka z Sambora, jedna z Wisły na ~~XXX~~ Śląsku, jedna z Warszawy. Grupa Polek stanowiła zwartą społeczność, mieszkającą w jednym ~~xxx~~ baraku. Żyliśmy bardzo dobrze z Lotyszami (gdy zamieszkali w lagrze jako kierownicy robót po demobilizacji Niemców), z trzema Węgierkami, jedną Austriaczką (Emi Rausch) i jedną Rosjanką - p. Olga Benoit. Stosunek Żydówek z "naczelstwa" do nas był poprawny i

"pajki" grysik pszenny, zbierałyśmy maliny na sok - i tak trzymałyśmy ją przy życiu. W sierpniu 1948 "wyczytano" nas na powrót do kraju. Krystyna nie mogła się podnieść. Uczyniła to jednak po kilku miesiącach i z otwartą raną, nie przyznając się do tego, zgłosiła się na powrót do kraju. Jechała samotnie. W Moskwie nastąpiła (jak zawsze) zmiana konwoju, żołdak sowiecki kopnął Krystynę na peronie w Moskwie, bo nie mogła wstać. Wtedy Krystyna odsłoniła brzuch, żołdak się przeraził i natychmiast odesłano ją do szpitala, gdzie przeprowadzono operację i chora wróciła do rodziny we Wrocławiu. Żyła potem jeszcze długo mimo tych straszliwych przeżyć i zmarła niedawno w Katowicach na serce.

Dużo z nas otrzymywało korespondencję nie tylko od rodzin, ale i od "opiekunów" z AK (np. p. Majerska ze Lwowa przysyłała dawnym swoim uczennicom z Gimnazjum Król. Jadwigi). Widzeń oczywiście nie było, raz tylko zaprowadzono nieliczną grupę (m. in. i ja tam byłam) na "koncert" do lagru męskiego na Uralu, gdzie spotkałam naszych więźniów i nawiązałyśmy z nimi - krótkotrwały zresztą - kontakt.

W tych lagrach można było siedzieć b. długo, a można też było po jakimś czasie pojechać "z etapem" gdzie indziej. Polki były cały czas na jednym miejscu, ale np. mężczyźni z sąsiednich kolonii byli wywożeni co jakiś czas, m. in. na Kołymę. Nas zwłniono ~~6 sierpnia~~ 6 sierpnia 1948 r. Do Polski przyjechałyśmy w październiku 1948. Wejście armii niemieckiej było dla nas w 1941 r. niestety - ale swego rodzaju wyzwoleniem. Nienawidziłyśmy ruskich tak bezgranicznie, że nawet ta zmiana rodziła jakieś nadzieje i lepszy nastrój. Na moment powiało Europą, zwłaszcza że wyszły na jaw potworne zbrodnie moskali w lwowskich i innych więzieniach.

Konspiracja była już zorganizowana. Ja w dalszym ciągu pozostawałam w ścisłym kontakcie z podziemną prasą. Bezpośrednie kontakty miałam z wybitnym działaczem ruchu - mgr Zbigniewem Nowosadem i wykonywałam przede wszystkim wszystkie jego polecenia - aż do chwili mego aresztowania podczas drugiej okupacji sowieckiej.

Redaktorem i wydawcą "Słowa" i innych biuletynów był medyk Stanisław Buryło, jedną z najbardziej oddanych kolporterów Roma Krzywoszyńska. Znane mi są nazwiska wielu innych działaczy i działaczek, z którymi nie miałam bezpośrednio kontaktów organizacyjnych, wiedziałam jednak że "coś" robią. Byli to m. in. : Jerzy Ruebenbauer, Martyna Pużynina Zofia i Alojzy Stamperowie, Drewniewscy, Regina Jurewicz, Halina ~~xxx~~ Madurowicz, Anna Mysłakowska, 3 siostry Rudkowskie: Irena (medycyna) Anna (medycyna) i wspomniana już Krystyna (uczennica). Trudno wszystkim wymienić, było ich mnóstwo.

Ponowne wejście Armii Czerwonej było znowu strasznym szokiem, jakkolwiek mnóstwo ludzi usiłowało przekonać społeczeństwo, że to będą już "inni" okupanci, a raczej nie okupanci, lecz sojusznicy. Wyjaśnienie nie kazało na siebie długo czekać: wielu Polaków w popłochu uciekało na zachód, wielu popełniało samobójstwa. Nastrój był okropny. ⁴³

Przyszli do Lwowa w lipcu - fala aresztowań osiągnęła punkt kulminacyjny w sierpniu. Mnie aresztowano 14 VIII 48,[?] jak już wspomniałam poprzednio.

Jedna z sióstr Rudkowskich, Anna, znalazła się na Uralu, lecz na Syberii. Nie wiadomo, dlaczego zwolniono ją z lagru przed terminem i puszczono wolno wprost za bramę obozu. Ponieważ Anna wiedziała, że jej młodsza siostra Krystyna jest w Połowince, wracała do kraju takimi drogami (przeważnie cudem!), że znalazła się w Moskwie. Tam odszukała Związek Patriotów Polskich i opowiedziała jakiemuś "patriocie", że na Uralu jest jej siostra i duża grupa Polek - i poprosiła o pomoc w ich uwolnieniu. I rzeczywiście przyjechał do nas jakiś "oficer", odbył długą rozmowę wyłącznie z Krystyną R., zapowiadając powrót nasz do wspaniałej Ludowej Polski. Po wizycie Rudkowska zachorowała na tyfus, a nas faktycznie w sierpniu 1948 "wyczytano" do Polski. Była to historia wręcz nieprawdopodobna, a jednak prawdziwa i świadcząca o wspaniałej postawie Anny Rudkowskiej (obecnie emer. dr neurologii we Wrocławiu, Anna Erzecka). Przed naszym wyjazdem do Polski władze lagrowe zaproponowały nam dwie możliwości: ~~Przyjęcie~~ przyjęcie obywatelstwa sowieckiego i wolność, albo powrót do wię-

-zienia w Polsce. Byli zaszokowani, że chórem wołałyśmy: "do więzie-
nia! do więzienia!". Wracałyśmy (mężczyźni z innych lagrów też)
przez Brześć, po drodze zatrzymując się w rozmaitych lagrach
"etapowych", m. in. w Gorkim i Orle (ale to znowu temat rzeka), aż
dojechałyśmy - dotarłyśmy do Brześcia, gdzie Państwo Niemieckie
(a jakże!) miało już wynajęty i świetnie zorganizowany lagier dla
swoich powracających z ZSSR obywateli. Rząd PRL wynajmował w tym
niemieckim obozie baraki dla swoich obywateli, dzięki czemu znów
"zapachniało Europą". Oczekiwanie w tym obozie było jednak potwornie
nie denerwujące, bo i widziałyśmy, i słyszałyśmy o dalszych wywóz-
kach Polaków na wschód. Całe ich transporty mijały się z naszym
pociągiem towarowym. Nie wierzyłyśmy więc jeszcze, że naprawdę
wracamy do Polski. Przekroczenie granicy 1948 było wzruszające:
wracałyśmy wagonami bydłocymi, ale szeroko otwarte ^{przez} drzwi patrzyły-
śmy na nasze pejzaże. A właśnie całe pola tonęły w babim lecie.
Takiego zjawiska nie widziałyśmy nigdy w życiu - ani przedtem,
ani potem: niebo było zasnuwane białą siecią pajęczą.
Wysadzono nas w Białej Podlaskiej. "Władze" polskie przeprowadzały
ewidencję, dawały jakieś papierki, okropne łachy (rzekomo z darów
amerykańskich) i trochę forsy na podróż, zresztą bezpłatną, do
wybranego miejsca w kraju.

Bardzo trudna była aklimatyzacja w nowym środowisku. Czułam się
okropnie, zapomniałam nawet, jak się je czy siedzi przy stole.
Nie miałam pracy, nie miałam mieszkania. Początkowo mieszkałam
z rodzicami (dotychczas byli u młodszej siostry we Wrocławiu)
u siostry, potem przez kilka miesięcy gdzieś kątem u znajomych,
wreszcie dzięki znajomości dra Stanisława Pazyry dostałam służbo-
we mieszkanie Państwowego Wydawnictwa Książek Szkolnych (Państwo-
we Zakłady Wydawnictw Szkolnych) na Podwalu i tam przeżyłam jeden
z najcięższych okresów mego życia już nie - więziennego, ale
nie wolnego.

Gdziekolwiek starałam się o pracę - wszędzie "personalnymi" byli
Żydzi. Losownie wszędzie - a sama świadomość, że o moim losie

ankit.
22

2

A₁ Ci sędziowie to byli strasznie prymitywni; bez żadnego wykształce-
nia, absolutnie. Oni tylko mieli pewną swoją formułkę i automat
na stole, więc wiadomo było, czym to grozi.
Rozprawa to była formalność, wyrok był z góry ustalony, dostawało
się 10, 15 lat i koniec. Nie było niższych wyroków. /Artykuł 54a -
zdrada ojczyzny//.

Ci wszyscy dyżurni i konwojenci byli święcie przekonani, że ci,
którzy zostali aresztowani są zdrajcami ojczyzny, wierzyli, że popeł-
niłyśmy najgorsze przestępstwa. Oni byli manipulowani, naszpikowani
straszną propagandą - "oni" tzn. my-wkłuwałyśmy szpilki pod pazno-
ckie żołnierzom sowieckim.

A₂ Dla nich słowo faszysta to było tak, jak nam powiedzieć np. belze-
bub, coś w tym sensie. "Ot faszysta", każdy dla nich był faszystą,
A₃ to była dla nich najstraszniejsza zbrodnia. Ja kiedyś zapytałam
się takiej moskalki, to już było na Uralu: Co to jest faszysta?
Ona nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie, ale faszysta to jest
coś, co może być najstraszliwszego na świecie. I myśmy były tymi
straszonymi zbrodniarkami, nikt nam nie wierzył, że myśmy ~~nie~~ zabi-
jały żołnierzy i torturowały. One ~~na~~ w to święcie wierzyły.
Jak tam na Uralu np. kazali coś robić, jakąś ciężką pracę, a my jej
nie umiałyśmy wykonać to mówiły nam "Wriosz", "breczysz", że wy
w Polsce nie pracowały fizycznie, nie umiały obchodzić się z siekierą,
czy z piłą. Ich pojęcie o Polsce i o zachodzie było tak wyuczone
z propagandy, że nie było żadnej dyskusji. ^o "Ot swołocz". To my.

??????
ros. wyr.

Jak przyszli po raz drugi to sytuacja była taka: teraz to są sprzy-
mierzeńcy. Myśmy długo się nie łudzili. Wszystkich wyaresztować.
Tośmy już widzieli jak prowadzili całą masę jeńców, polskich ofi-
cerów, którzy dali się nabrać, żeby się ujawniać, i ujawniali się.
To był największy błąd.

A₃
str 18

A₁ Robiliśmy to samo co mężczyźni. Szliśmy do roboty kilometrami,
godzinami do roboty w zimie, w śniegu - po pas. Stawiając kroki
str 15 w poprzednie ślady, nocą iść przez las do roboty, to było okrop-
ne.

Nasz grupa była bardzo solidarna i bardzo ze sobą dobrze żyła. Kobiety orały pole na Syberii (p. Krzywoszyńska). Jak wróciła do Polski to chodziła jak kret, bo ciągle zapierały się ciągnąc. Człowiek sam sobie przestaje wierzyć, że to przeżył. Byli ludzie porządni jak Niemcy nadwoźniacy, Łotysze, nadzwyczajnie zachowujący się wobec nas. Ci mężczyźni piękni, wysocy; myśmy zawsze mówili, że wyglądają jak apostołowie. Łotyszki już nas nie lubiały i nie pomagały. Ci Łotysze - więźniowie byli wysiedleni z Łotwy, odznaczali się tym, że byli doskonałymi gospodarzami, doskonałymi pracownikami. Byli silni, bo to przecież chłopci, nie tacy zacofani chłopcy polscy, tacy gospodarze - bałwery. Łotwa przecież była pod silnym wpływem Niemiec. Niemcy pierwsi tam przecież wodzili rej na Łotwie. Oni byli nadzwyczaj gospodarni, umieli wszystko zrobić i nas uczyli. Mówili "dziewuszkę", weź się do tego tak, a nie tak; choćby takie karczowanie pni, myśmy tego nie umiały robić. Było 40 stopni mrozu, korzenie pozamarzały, wszystko było niesamowicie twarde, że nie sposób tego ruszyć, piłą się nie ruszy, ani siekierą. To trzeba dopiero z fantazją podejść. Naturalnie potem nasze wiadomości z fizyki przydawały się, pomagały nam w tej pracy. Wiedziałyśmy co trzeba zrobić, żeby osiągnąć określony efekt. Ale tak nas tego wszystkiego uczyli Łotysze, przedtem Niemcy nadwoźniacy. Np. ładowanie wagonów to była dla nas klęska, bo myśmy nie miały do siły, to wszystko się ręcznie u nich odbywało. A wagony to nie były platformy, a olbrzymie cysterny, mają przecież szerokie tory, to sobie można wyobrazić jak to było. Trzeba było cały takinwagon węglarki załadować 13-metrowymi drzewami. Świerki te były obślizgłe, obmarznięte, śliskie. To trzeba było przy krzyku okropnym raz dwa, raz dwa, wzięli istrzał i tak przez całą noc.

6
1/15

Jedną Łotyszkę kiedyś przywaliłyśmy drewnem, połamało jej nogi. Łotysze nam pokazywali jak sobie tą robotę uprościć. Albo zwałało się drzewa i jedno za drugie się zaczepiło. Trząść nie ma jak, to nie jest gałąź, to jest drzewo.

Gdybym miała przeżyć po raz drugi lagier, to bym coś sobie zrobiła. Nie poszłabym, bo można raz tylko przeżyć więzienie i lagier sowiecki. Tylko dlatego, że nie wiedziało się co będzie jutro, pojutrze, jakie będzie śledztwo, jak będzie? - to można było przeżyć. Zresztą się musi, bo nie ma innego wyjścia, nie można nawet popełnić samobójstwa, nie ma jak w więzieniu. Przeżywalismy to wszystko dlatego, że ze wierzyliśmy - że jenna będzie Polska - tylko dlatego.

Ale tak, to żadnego doświadczenia. Ani nie będę pracowała piłą, ani siekierą, ani nie będę rozbijała na ulicach lodu, a choćby nawet, to dzisiaj nikt nie ścina drzewa taką piłą, tylko elektryczną się to robi na całym świecie. Tylko nie w Rosji. Takie przywiozłam doświadczenie, a więc żadne.

nie było możliwości nawet załatwienia swoich fizjologicznych potrzeb w wagonie. A to już znana historia w jaki sposób, to zostało rozwiązane - to były drewniane rynny idące od wagonu na zewnątrz, ale ponieważ etap odbywał się zimą w straszliwy mroz to wszystko zamarało od razu i nie można było z tego korzystać. A poza tym psychiczny opór człowieka, nie potrafił się człowiek załatwiać w towarzystwie kilkudziesięciu osób. I wszy straszne, bo wagony ciągle służyły do przewożenia etapów i żołnierzy. To było wszystko tak zawieszane, że jak już przyjeżdżaliśmy na miejsce, a przez cały czas nie zdejmowaliśmy żadnej odzieży to pod pachą było ich całe grube gniazdo. Jak ześmy raz buty zdjeli, to ich nie można było włożyć z powrotem, bo nogi były tak straszliwie puchnięte, siedzieliśmy cały czas w tych butach. Do dziś się drapię pod pachą od tych wszów, bo najczęściej i najwięcej ich tam siedziało. Cała Rosja to są karaluchy pluskwy i wszy, nie ma pcheł. we Lwowie jedynie były jeszcze pchły. Tak jak te pchły mnie oblażyły w więzieniu to nie zapomnę do śmierci wyglądałam jak cebula w czerwone kropki. Te pchły zaraziły szczury a szczury ludzi. Jało mi się to we znaki straszliwie.

w tych wagonach, którymi jechali Moskale, a wśród nich jacyś nie-szczęśliwi inni obcokrajowcy, to nie daj Boże. Wszystkich w pierw dokładnie obrabowywano, wszystko zabierano takiemu delikwentowi.

C
str. 20

Co
str. 9

str. 9

C2
(P1)

Nikt na to nie reagował, żadnych konwojentów, którzy by ratowali

D₁ człowieka nie było. Mojej przyjaciółki brat /Purczak/ nawet nie doje-
chał do żadnego lagru.

Tak samo było w więzieniu, były moskalki polityczne - ich było bardzo
niewiele, a reszta to zwykle kryminalistki. Te ostatnie były strasz-
ne. siekierą zabijały sobie, szły na robotę, to po drodze, albo
w czasie pracy rozwalaly komuś łeb i koniec z takim człowiekiem.
najważniejsze jest to, że w Rosji jest podziemny świat tj. drugi
całkiem świat. To jest organizacja tak fantastyczna, że jeżeli np.
z Odessy przyjeżdżają jakieś więźniarki na Ural, to już na Uralu
wiedzą z tejże samej mafii, że te przyjeżdżają. To jest cała mafia
tak zorganizowana, że nie daj Boże, aby jakiegś krzywda jakaś się sta-
D₂
SDV 95 stała z tej mafii, aby nie została w tej samej chwili pomszczona.
Straszne złodziejki. To było już na uralu. Pół baraku było nasze,
a druga połowa była pusta. Właśnie miały przyjechać kryminalne tzw.
"białnyje". Myśmy się tego strasznie bały, bo to między naszą poło-
wą, a ich połową tylko drewniane drzwi. I teraz jak one uida tam,
a my tu, to my wogóle nie mamy co już robić. To już wszystko przepa-
dnie. Nie będziemy miały butów, ani sukienek, nic. Noj one przyje-
chały. zajęły te pół baraku, przysły popatrzeć, a są one bardzo bez-
szczelne te mafijne "białnyje". One sobie nic nie robią z nikogo
i z niczego - absolutnie. One nie mają nic do stracenia, mają tak
olbrzymie wyroki, że im wszystko jedno jest. przysły, popatrzyły,
teraz my w rozpaczycy co robic na noc. Bo w ciągu dnia to pół biedy,
choć wszystko mogły nam pokraść w czasie dnia. My idziemy na robo-
tę. Jedna z nas mowi że byśmy pozasuwały drzwi ławami, jakoś żeby
sły zaasekurowac. Na szczęście przewazyła opinia, zresztą to ja
ją wysunęłam żeby przeciwnie - okazać im przyjaźń i życzliwość
i tak w ten sposob udobruchać je. I faktycznie ja miałam piękne buty
z cholewkami tzw. ruski fason, śliczne, brązowe ze skóry. Wszystkie
moskalki szalały, bo też chciały takie mieć. One lubią się bardzo
stroic. Myśmy jeszcze miały trochę sukienek i innych rzeczy, które
podostawaliśmy z domu. Zaglądnęły, zaczęła sły rozmowa i myśmy je

F
A
st 15

bardzo serdecznie przyjął. Jej się podobały moje buciki, to jej pożyczym. Tej się też coś tam jeszcze podobało to i jej pożyczymy. Myśmy je tak sobie zjednali, że potem miałyśmy konwojenki. One nas pilnowały i broniły przed jakimkolwiek atakiem z zewnątrz. Nie daj Boże żeby ktoś nam coś ukradł, albo zrobił jakąś krzywdę. One nas tam pilnowały, żeby się nic nam złego nie stało. One były nam najbardziej przyjazne.

nie miałyśmy żadnych bucików, dostawało się takie zrobione z-epę z opon samochodowych, kalosze - wszystkie na jedną nogę. To się wiązało sznurkami, jakimiś szmatami i tak się w tym chodziło.

E₂
st 15

Ala jak się dostała woda, albo śnieg wszystko było obmarznięte, albo mokre. „racało się z roboty skonanym ze zmęczenia, przemokniętym często do nitki, bo to były wszystkie spodnie watawane, a wszystko dostawało się z frontu brudne i zawzione. I to wszystko dawało się do suszylki - były to takie małe lokaliki, w których bez przerwy chajcowało się drewnem, tak że wszystko było w parze, ale bez przewiewu!? Tak, że jak rano nam to wszystko wyrzucali na ziemię trzeba było szukać swoich łachów i brało się z powrotem mokre znowu na siebie. Bo to nie miało możliwości wyschnąć w suszylce. Tylko się tam wszy cudownie mnożyły, bo lubią taką temperaturę.

Indeks osób do wspomnień p. Magdaleny Lukas

1. Abakunin - Gruzin, naczelnik "peresylnego" lagru przy ul. Pełtewnej we Lwowie.
2. Zdzisław Atlas - szwagier Rogalix, oficer rezerwy WP, prawdopodobnie zginął jako ~~wię~~ jeńiec w Rosji.
3. Katarzyna Beniowska - Ukrainka, chłopka, więziona w 1944 r. na ul. Łackiego we Lwowie.
4. Olga Benoit - Rosjanka z Leningradu, więziona w obozie Połowinka na Uralu, po odbyciu wyroku powróciła do Leningradu. Jedną z jej córek zmarła w obozie na Syberii.
5. prof. Kazimierz Bronczyk - latem lub jesienią 1944 r. więziony na ul. Łackiego.
6. Stanisław Buryło - redaktor podziemnego pisma "Słowo Narodowe" /NOW/ w latach okupacji; aresztowany w sierpniu 1944 r., więziony na Łackiego, skazany jesienią 44 r. na 15 lat obozu o zastrzonym reżimie; był na Workucie, zmarł po powrocie we Wrocławiu.
7. Cywulin - enkawudzista, oficer "polityczny" w łagrze przy ul. Pełtewnej we Lwowie.
8. Dimurin ~~z~~ - członek komendy lagru przy ul. Pełtewnej, b. przychylnie nastawiony do Polaków. Jego żona, Żydówka z Odessy, była lekarką na Pełtewnej.
9. Drewniewscy - zaangażowani w konspiracji NOW we Lwowie podczas okupacji niemieckiej.
10. Eleta - Greczynka, więźniarka Połowinki.
11. Jadwiga Flasińska - siostra autorki relacji.
12. Tomasz Fredro ~~z~~ - aresztowany we Lwowie w latach 39-41.
13. Jadwiga Gamska - więziona w łagrze przy ul. Pełtewnej /była tam w pracowni lalkarskiej/, potem w obozie Połowinka na Uralu.
14. Ewa Grzymalska - siostra autorki.
15. Maria Horzemska - z Warszawy, zmarła w obozie Połowinka.
16. Kazimiera Jagniewska - absolwentka UJK, zginęła w więzieniu na Łackiego w VI 1941 r.
17. Regina Jurewicz - zaangażowana w konspiracji NOW we Lwowie.
18. Katarzyna Kałkahur - ze Lwowa, zmarła w obozie Połowinka.
19. mec. Kazimierz Kobylański - aresztowany przez Sowieców w latach 39 - 41 we Lwowie.

20. Klaudia Kowalewa - więźniarka lagru w Połowince.
21. Romualda Krzywoszyńska - córka wojskowego ze Lwowa, żona Stefana Buryło, kolporterka "Słowa", więziona w łagrach na Syberii,
22. Maria Lach - łączniczka Ostrowskiego /patrz dalej/, w 44 r. więziona na Łąckiego, zwolniona.
23. Danuta Lachowska - żona Zygmunta Łuczkiwicza, zginęła podczas bombardowania oblężonego Lwowa we IX 1939 r.
24. Wiera Litwin - Ukraińka, działaczka narodowa, więziona na Łąckiego w 1944 r.
25. Wincenty Lukas - brat autorki.
26. inż. Łazoryk - więzień obozu przy ul. Pełtewnej.
27. Zygmunt Łuczkiwicz - zam. przy ul. Krasińskiego we Lwowie, aresztowany w 1939 lub 40 r. przez Sowieców.
28. Halina Madurowicz - patrz pkt 9.
29. p. Majerska - nauczycielka gimnazjum im. Królowej Jadwigi we Lwowie, opiekowała się swymi aresztowanymi uczennicami, wysyłała im paczki do lagrów.
30. Taissa Makarowna - rosyjska Żydówka, więźniarka jak pkt 20.
31. Riwa Mechlis - jak wyżej.
32. Anna Mieczychowska ziemianie, podczas 1-szej okupacji sow.
33. Kazimierz Mieczychowski pracownicy w ogrodach na Zamarstynowie.
34. Anna Mysłakowska - patrz pkt 9.
35. inż. Stanisław Nahlik - patrz pkt 32.
36. Barbara Nowakowska - siostra Krystyny i Mieczysława, córka Jana. Aresztowana w sierpniu 1944 w sprawie "Słowa Narodowego", jesienią tegoż roku skazana na 10 lat łagru - ITŁ. W obozie przejściowym na Pełtewnej pracowała w pracowni lalkarskiej.
37. Krystyna Nowakowska - siostra Barbary, patrz wyżej.
38. Jan Nowakowski - ojciec, okol. aresztowania i skazania jak córki, zmarł w łagrach.
39. Mieczysław Nowakowski - okol. aresztowania i skazania jak siostry.
40. Maria Obst - z Wilna, zmarła w obozie Połowinka na Uralu.
41. Ostrowski - Delegat Rządu we Lwowie w 44 r., zwolniony wkrótce po aresztowaniu.

42. mgr Zbigniew Nowosad - działacz NOW we Lwowie podczas okupacji niemieckiej.
43. Wiesia Piszczek - w pacowni lalkarskiej obozu na Pełtewnej.
44. Płoński - b. urzędnik Magistratu, patrz pkt 32.
45. Emanuel Pokryszko - więzień łagru przy ul. Pełtewnej.
46. Zygmunt Procko - jak wyżej.
47. "Duńcio" Marut - jak wyżej.
48. dr Martyna Puzynina - patrz pkt 32, podczas okupacji niemieckiej zaangażowana w NOW we Lwowie.
49. Emi Rausch - Austriaczka, więźniarka jak pkt 20.
50. Jerzy Reubenbauer - patrz pkt 9.
51. Janina Rogala
52. inż. Rogala małżeństwo, właściciele willi przy ul. Krasieńskiego 15 we Lwowie, wywiezieni w 1940 r.
53. Anna Rudkowska, - lekarz, członek NOW we Lwowie, więziona na Syberii, akt. mieszka we Wrocławiu.
54. Irena Rudkowska - lekarz, siostra Anny, patrz pkt 9.
55. Krystyna Rudkowska - uczennica, siostra Anny i Ireny, zaangażowana w konspirację NOW, przebywała w łagrze Połowinka, ciężko tam zachorowała, uratowana przez lekarzy w Moskwie po ataku przeżytym w drodze z łagru do Polski.
56. Sabarowski - Rosjanin, więzień łagru przy ul. Pełtewnej, zbiegł w zbiorowej ucieczce kanałami.
57. Alojzy Stamper
58. Zofia Stamper - patrz pkt 9.
59. Zofia Strychalska - Reubenbauer - absolwentka UJK, zginęła w więzieniu na Zamarstynowie w czerwcu 1941 r.
60. Strychalska - matka Zofii.
61. Stanisław Strychalski - brat Zofii, w czerwcu 1941 uciekł z Brygidek ratując się przed śmiercią.
62. inż. Juliusz Szczygieł - patrz pkt 32.
63. Kostia Szlej - Niemiec nadwołżański, wywieziony na Ural, brygadzysta w obozie Połowinka.
64. Władimir Szmid - Niemiec nadwołżański, weterynarz, wywieziony na Ural, lekarz łagru Połowinka.

65. Anna Szymczyk - patrz pkt 43.
66. Lena Terlecka - więźniarka na ul. Łąckiego we Lwowie, w 1944 r.
67. Danuta Turczak - jw, potem w pracowni lalkarskiej obozu na Pełtewnej, następnie lagier Połowinka.
68. Krystyna Turczak - siostra Danuty, więziona w 1944 r. na Łąckiego.
69. Turczak - matka Danuty i Krystyny, więziona w 1944 r. na Łąckiego.
70. Turczak - brat Danuty i Krystyny, w 1944 więziony na Łąckiego, zginął w transporcie do łagru, zabity przez współwięźniów Rosjan.
71. Mieczysław Waluszewski - właściciel ogrodów na Zamarstynowie, w czasie 1-szej okupacji sowieckiej pracował w nich jako brygadzysta. Pomagał w uzyskaniu zatrudnienia.
72. Zofia Wandyszówna - patrz pkt 32.
73. Wansowicz - Łotysz, więzień obozu Połowinka.
74. Wita Wasiuczyńska - szefowa pracowni krawieckiej w obozie przejściowym na Pełtewnej.
75. Jan Weis - zamieszkali przy ul. Kurkowej we Lwowie, aresztowani w latach 39-41 wraz ze stryjem i kuzynką.
76. Mieczysław Weis
77. Mirosław Wigierski - patrz pkt 45.

Maria Magdalena Lukas, 15 X 1913, Adam i Bronisława, inteligentkie, mieszkałam we Lwowie, pracowałam jako dziennikarka w "Słowie Narodowym" we Lwowie, wykształcenie niepełne humanistyczne (UJK), Młodzież Wszechpolska i Stronnictwo Narodowe.

Mieszkałam we Lwowie od r. 1914, gdy Rodzice przenieśli się z Brodów (ojciec jako młody urzędnik austriacki odbywał "staż" na prowincji, początkowo w Czortkowie, potem w Brodach, gdzie razem z innymi Polakami wybudował w tym zażydżonym i ukraińskim mieście gmach Sokoła. Miałam pod opieką w latach wojny rodziców, poza tym we Lwowie mieszkała starsza siostra Ewa Grzymalska z rodziną, brat Wincenty z żoną i młodsza siostra Jadwiga Flasińska z mężem.

Wkroczenie Armii Czerwonej było straszliwym przeżyciem. Pierwsze czcigi Armii Czerwonej zobaczyłam na ul. Jabłonowskich. Ludzie stali w niemym milczeniu, na czołgi sypały się żydowskie kwiaty. Był to niesamowity wstrząs. Jak ich zobaczyłam na tych czołgach dostałam jakiegoś ataku hysterii, do rzeczywistości przywrócić się pomógł mi kolega. Mieszkałam na ulicy odległej od tych głównych dróg Lwowa. Jeżeli się ich widziało, to na tych głównych drogach; myśmy uciekali, nie chcieliśmy ich widzieć. Jak już wspomniałam zobaczyłam ich na ul. Jabłonowskich, na czołgach siedzieli mężczyźni i kobiety, co po raz pierwszy widziałam, bo nie widziałam jeszcze, żeby baby siedziały na czołgach w mundurach. Byli ci żołnierze często na boso ich szynele, płaszcze były brudne i obstrzępione, nie były poobrubiane, to zwróciło naszą uwagę.

Pierwszy okres po zajęciu Lwowa cechowało przerażenie i oczekiwanie czegoś najgorszego, albowiem nasłuchaliśmy się i naczytali mnóstwo o bolszewikach. Najważniejszą sprawą było ustabilizowanie się w nowych warunkach, a więc zapewnienie sobie mieszkania i pracy, zwłaszcza że na miasto runęła fala "bieżących", z którymi trzeba było dzielić się mieszkaniem, i jedzeniem. Po bombardowaniu miasta sprowadziła się do nas (ul. Krasińskiego 15) rodzina znajomych z Kwiatkówki, mieszkali też uchodźcy ze Śląska.

Zanim przyszło jakieś rozpoznanie, zaczęły się wywózki i aresztowania. Najstraszniejsze były noce, gdy bez najmniejszego szelestu pod jeźdźwały na ulice ciężarówki sowieckie i w głębokiej nocnej ciszy zaczynały się łomotania karabinów do bram i mieszkań. Ludzie dostawali szoku i zawału serca. Z naszej willi wywieziono właścicieli, inż. Rogalę i jego żonę Janinę, mieszkanie zajęli bolszewicy - Grigorenko z żoną i dzieckiem. Szwagier Rogali, mec. Zdzisław Atlas, zginął ~~przez~~ prawdopodobnie w Katyniu lub innym miejscu kaźni polskich oficerów. Ze względu na konieczność posiadania "bumażki" z miejsca pracy, ~~zam-~~ ~~knkn~~ gażowałam się w roli robotnicy fizycznej w ogrodach na Zagarstynowie które odebrano ich właścicielom, pozostawiając ich w roli "brygadierów" ogrodniczego "artielu". Pracowali tam przedstawiciele (wyłącznie) inteligencji. Było to przy ul. św. Marcina, u Mieczysława Waluszewskiego. Poza mną pracowali tam m. in. inż. Stanisław Nahlik (obecnie Balice pod Krakowem), dr Martyna Puzynia (zm. w Londynie), niej. p. Płóński z dawnego Magistratu, Zofia Wandyszówna, ziemianie Anna i Kazimierz Mieczychowscy z córką, inż. Juliusz Szczygieł i inni. Początkowo nie było mowy o żadnej konspiracji. Wszyscy błakali się bezradni i przerażeni, albowiem ze wszystkich stron dochodziły wiadomości o aresztowaniach i wywózkach. Pierwsze nazwisko, które usłyszałam, to był Zygmunt Luczkiewicz z ul. Kraśńskiego, mąż Danuty Lachowskiej, która zginęła w pierwszych dniach bombardowania, zostawiając 2 córeczki. Potem nastąpiła lawina nazwisk: mec. Kazimierz Kobyłański, rodzina Weisów z ul. Kurkowej: Mieczysław(?), Jan, ich stryj i kuzynka, Tomasz Fredro i mnóstwo innych. Byliśmy przerażeni i zastraszeni. O żadnej konspiracji początkowo nie słyszałam. A gdybym nawet gdziekolwiek "należała", to na pewno nie znałabym ani nazwisk, ani pseudonimów. Moja praca początkowa - to kontakty z uczennicami szkół średnich i ze znajomymi, z którymi wymieniało się wiadomości, udzielało wzajemnej pomocy itp. A przyczyn do takiej pomocy było bardzo dużo. Jeden potrzebował lekarstw, inny ~~ka-~~ z kół^e chciał kogoś znaleźć itp. Żadnych kontaktów z władzą radziecką nie miałam poza tymi, ~~do któ-~~

~~KXSKZKUSKSKKX~~

do których szuszało załatwienie pozwolenia na paczki do więzienia lub na wysyłkę do Tarnopola, bo tylko w Tarnopolu przyjmowano takie przesyłki na wschód.

Aresztowano mnie dopiero podczas drugiej fali okupacji sowieckiej, 14 sierpnia 1944. Podczas okupacji niemieckiej byłem już w konspiracji, należałem do redakcji podziemnego pisma "Słowo Narodowe" i "Walka" (zastrzegam się, że mogłem pomylić tytuły, bo kolportowało się tego znacznie więcej i nie pamiętam już, gdzie pisałem, w każdym razie redagował to pismo masyk Stanisław Buryło; wrócił po kilkunastu latach z Warkuty i zmarł we Wrocławiu, pozostawiając żonę i 4 dzieci - żona była też w lagrze, ale na głębokiej Syberii, jeszcze jako Renualda Krzywoszyńska, córka wojskowego z Kwiatkówki we Lwowie). Być może, że aresztowanie to miało związek z prasą podczas okupacji niemieckiej, a może było tylko efektem ogólnej "czystki" sowieckiej we Lwowie.

W "mojej" grupie była aresztowana rodzina Nowakowskich z ul. Zamkowej - S. Buryło, Barbara, Krystyna Nowakowska, ich brat Mieczysław i ojciec Jan. (Do kraju powróciła trójka młodych, ojciec zmarł w lagrze).

W więzieniu przy ul. Łackiego było mnóstwo ludzi, m. in. Maria Lach (łączniczka Costrowskiego, który wyszedł na wolność po jakichś rozmowach z bolszewikami), wkrótce zwolniona, dwie siostry Turczak, Krystyna i Danuta, ich matka i brat (brat zginął w ~~niektórej~~ transporcie na wschód zaatakowany przez współwięźniów, co zdarzało się bardzo często). Lista więźniów jest olbrzymia, m. in. w celi obok (ja siedziałam w celi nr 4) ~~był~~ siedział prof. Kazimierz Brończyk).

Pobyt w więzieniu był straszny. Spałyśmy w niesamowitej ciasnocie na ziemi, z pchłami, pluskwami i stonogami, które łąziły po nas, pod "paraszą", na której nie wszystkie umiałyśmy się początkowo załatwić, zanim nie nabrałyśmy we wszystkim rutyny. Były wśród nas także Ukrainki ze wsi, m. in. Kasia Beniowska. Dopóki ~~były~~ były tylko te "proste" Ukr., dopóty żyłyśmy w zgodzie, wspólnie się modląc i dzieląc jedzeniem przy syłanym przez rodziny. Ale gdy przyszła ukr. "działaczka" Wiera Litwin wszystko się zmieniło - buntowała przeciwko nam i sprowokowała wrogi stan. Atmosfera w celi była znakomita, dopóty nie zaczęto nas wywoływać na "doprosy", zawsze w nocy, do innego budynku.

Trudno pisać o szczegółach - niektórych mężczyzn bito, z kobiet niemal wszystkie Ukrainki. Ukraińcy byli katowani za to, że współpracowali z Niemcami, przecież nie dlatego, że byli polskimi obywatelami. Katowali ich Ukraińcy, którzy byli po stronie Sowietów. Kobiety raczej mniej katowano, dopóty nie wymordowano całej ich masy w więzieniach we Lwowie; zaczęto później wymordowywać. Kobiety Ukrainki widziałam jak były pośniewane, pobijane, fioletowe od pobicia. Mężczyzny kazał Ukraińca nie spotkałam żadnego w czasie mojego etapu więziennego i później lagru. Poza celą, nic nie mogłam widzieć, w nocy dyżurny prowadził na śledztwo i odprowadzał. Nic więcej nie mogłam widzieć.

Wymordowywano w sposób straszny np. na Zamarstynowie żeby sobie uprościć procedurę zrobili otwór w podłozie - strzelali na górze zrzucając ciało w dół do piwnicy i tam zrobiła się piramida ciał, nawet jeszcze żyjących. Potem jak przyszli Niemcy dopuścili ludzi do szukania swoich bliskich, tam właśnie pani Strychalska, moja znajoma szukała swojej córki /mojej rówieśnicy/. Niemcy nie pozwolili grzebać tam, bo ciała były w rozkładzie. Ciała niestety śmierdziało trupami i oni to wszystko zalali wapnem. Nie znaleźli tam żadnego ciała ze swoich bliskich, tylko poznali po kocu i swetrze, że była tam też Zosia Strychalska - ich córka. Na Zamarstynowie chodziło się po korytarzach w których było pełno krwi i ciał. Jak przyszli Niemcy Polacy z ulicy usiłowali tych którzy się jeszcze uratowali wypuścić na wolność, no to jedna z moich młodszych koleżanek, też nie wiedziała, że wtedy siedziała - dowiedziałam się o tym po wojnie ukryła się za dzzwiami celi że jej nie zobaczono, gdy zabierano wszystkich do rozstrzelania, a wszystkich rozstrzeliwali na podwórzu i na korytarzach i jak już uciekło i przyszli Polacy otworzyć cele tych, które nie były jeszcze otwarte, ona uciekła. Dostała szoku, zaczęła się strasznie śmiać, tak, że dopiero jakichś człowiek uderzył ją w twarz i ona dopiero wróciła do siebie. To były straszne rzeczy i myśmy właśnie w takiej atmosferze żyły.

Podpisywałyśmy wszystko czego chcieli, aby tylko mieć wreszcie spokój z "deprosam", które były okropne. Trwały do świtu, siedziało się na

stołku bez oparcia, "sledowateel" bez przerwy bawił się automatem i obrucał więźnia stekiem ordynarnych wyzwisk. Bez powtarzali jedno pytanie: "no skazany, no skazany", a my ciągle: ja nic nie wiem, ja nic nie wiem. Było to w kółko Macieja. Potem zaszantażowali z miejsca, że zaresztują ojca, matkę, rodzinę, zresztą to była często prawda. Na początku tylko zaresztowali szwagra i siostrę, potem siostrę puścili. Było to strasznie męczące, dlatego, że śledztwo było zawsze w nocy i trwało przez całą noc. To wystarczyło, wtedy nie trzeba bić człowieka, ani nic, człowiek tego fizycznie nie wytrzymywał.

Śledztwo zakończyło się późną jesienią. Trzech "sędziów" w piwnicy więziennej na Łąckiego "odprawiło" sąd. Ale ponieważ nie wierzyliśmy w żaden wyrok w 1944 r., znakomicie bawiliśmy się, co "sędziów" cholewnie irytowało. Taka np. scena: tłumaczka-Zydówka czyta m. in. artykuł Stanisława Buryły z jakiegoś niedawnego numeru gazety pt. (o ile pamiętam) "Sierpem i młotem". W pewnym momencie pyta: "Czy mam czytać dalej" - a my wszyscy: "dalej! dalej!" No i dostałyśmy po 10 lat lagru "sprawitelnego", a Buryło 15 lat o zaostrzonym reżimie. Po wyroku zostałyśmy ułokowane w innej celi - od ul. Sapiechy, gdzie była już spora grupa innych kobiet z wyrokami. W tym nowym budynku nie groziły już nam wyrządnie nocne śledztwa, ale za to towarzyszyły nam wycia innych więźniów, albo katowanych, albo już obłąkanych.

Muszę jeszcze wrócić do okresu śledztwa: dyżurowali na korytarzach byli więźniowie sowieccy, z których jedni byli dla nas względni, inni chamscy. Byli gorsi i lepsi dyżurni. Był taki jeden Rosjanin, starszy już człowiek, który odsiadywał-odprawił swój wyrok będąc właśnie dyżurnym, nazwałyśmy go Papasza i który nam niesamowicie współczuł. Potem jak szłyśmy na Pełtewną, to nam jeden z tych Moskali dał bochenek chleba, powiedział, że nam to będzie potrzebne. Okazywali nam niektórzy dużo współczucia, wiedzieli, że siedzimy za nic. Ale, to tylko niektórzy byli szczerzy, niektórzy byli wstrętni.

Gdy był na dyżurze człowiek ludzki, pozwalał nam wyjść na korytarz, by umyć podłogi, co było dla nas ogromną frajdą, bo wówczas można było zajrzeć przez "judasza" do innej celi i przekonać się, kto jeszcze

siedzi. Czasem szło się do innego budynku, do sal, gdzie odbywały się nocą przesłuchania. Wtedy można było trafić na ogromne masy skonfiskowanych fotografii podczas rewizji w domach. Gdy tylko się dało, zabierałyśmy, ile można, odbitek i niszczyłyśmy w celi, wrzucając podarte do paraszy. Ogromne skarby poszły w ten sposób na zatracenie, ale obawiałyśmy się, aby po nitce do kłębka nie szukano na podstawie fotografii innych "przestępców" z paragrafu 54a, czyli "zdrady ojczyzny". Pobyt w więzieniu był dla nas ^{inny} straszniejszy, że ~~pamiętamy~~ pamiętaliśmy, co stało się z Polakami, którzy byli na Łąckiego, w Brzydychach i na Zamarstynowie przed przyjściem Niemców w 1941 r. Przecież wtedy pomordowano setki ludzi, spośród moich przyjaciół Kazimierę Jagniewską z ul. Janowskiej, abs. UJK, też absolwentkę UJK Zofię Strychalską-Reubenbauerową, której brat, Stanisław Strychalski cudem uciekł z Brygidek, a współwięźniarka Kazimiery Jagniewskiej na Łąckiego, uciekając z więzienia broczyła po kostki w krwi. Trudno o tym wszystkim pisać i mówić w ankiecie, wymaga to osbnej epopei, w rodzaju "Innego świata" Herling-Grudzińskiego.

Ci sędziowie, którzy nas "sądzili", to byli ludzie strasznie prymitywni; bez żadnego wykształcenia, absolutnie. Oni tylko swoją pewną formułkę i automat na stole, więc wiadomo było, czym, to grozi. Rozprawa to była zwykła formalność, wyrok był z góry przecież ustalony, dostawało się po 10, 15 lat i koniec. Nie było niższych wyroków. Wszyscy byli "zdrajcami ojczyzny", z tego wszystkiego nie było żadnego wyjścia, każdy przez to wszystko jakoś musiał przejść. To były kpiny. Z więzienia na Łąckiego przegnano nas początkowo na Pełtewną, w czym udział brali nie tylko moskale, ale i wilczury, które biegały wokół nas. Pognano nas na Pełtewną, gdzie za Niemców było getto żydowskie w dawnych domkach kolonii magistrackiej. Tam spotkaliśmy tysiące innych więźniów oraz za drutami kolczastymi - pod gołym niebem - tysiące jeńców z frontów. Okazało się jednak, że z jakichś powodów nie możemy tam zostać i w najstraszniejszą zimową pogodę, w śniegu i w błocie gnano nas ulicami Lwowa na koniec Janowskiej, gdzie też były pożydowskie baraki. Tam byliśmy kilka potwornych ^{dn} - bez jedzenia

bez możliwości przespania się na ziemi choćby. Przeszliśmy pierwszy lagierny tam szok: okazało się, że wszyscy więźniowie muszą być goł na całym ciele, a żeby pozostać bez reszty godność, mężczyźni golili sowieckie kobiety (jeżeli w ogóle miały coś wspólnego one z kobiecością), kobiety natomiast polskie musiały poddać się tej operacji którą na odmianę sprawowali mężczyźni - i to tym razem nasi koledzy-Polacy. Był to potworny szok, jeden z najstraszniejszych, jakie musiały przeżyć polskie kobiety w lagrach sowieckich.

I znowu poznano nas po kilku dniach na Pełtewną, gdzie wreszcie mogliśmy spocząć w jako tako uporządkowanych domach, śpiąc oczywiście na podłodze, ale to było najniejsze zmartwienie. Kierownikiem tego lagru "peresylnego" był niej. Abakunin, chyba Gruzin, człowiek dla Polaków nie najgorszy; "politycznym" tzn. NKWD takim, który tropił więźniów, był Cywulin, poza tym jakąś funkcję miał Diaurin, najlepszy i najżyczliwszy dla Polaków. Jego żona - Żydówka z Odessy - była lagrową lekarką.

W lagrze były setki problemów do rozwiązania, które w jakiś sposób wpłynęły na losy przynajmniej pewnej grupy Polaków. Ponieważ kolonia magistralna była zdewastowana podczas pobytu tam Żydów, nasi więźniowie znaleźli się wzbrygdank w "brygadach" kanalarzy, elektryków itp. dzięki czemu krążyli po całym obozie i byli łącznikami między poszczególnymi więźniami. Do nich należał m. in. Lazoryk, Mirosław Wigierski, Emanuel Pokryszko, Zygmunt Procko i mnóstwo innych, których nazwisk w tej chwili nie pamiętam. (m. in. był niej. "Duncio" Marut).

Ponieważ w lagrze na Pełtewnej były tysiące więźniów i jeńców bez butów, a miało się ku ostrej zimie, władze lagrowe zmuszone były poszyć im na nogi jakieś namiastki obuwia, inaczej bowiem nie mogły wysłać tych ludzi na "etap". Ponadto wszyscy moskale z administracji korzystali z usług krawieckich niektórych świetnie szyjących Polek, tak że dzięki umiejętnościom np. Wity Wasiuczyńskiej, z zawodu krawcowej, powstała w jednym z baraków "pracownia krawiecka" tejże Wity, gdzie szycie nawet płaszcze dla moskali, a z pracowni wyłoniła się inna - pracownia naprzód pantofli, a potem lalek itp. Ponieważ kiero-

-wnik lagru zwrócił się do mnie o zorganizowanie takiej pracowni, obiecałam pomoc pod warunkiem, że pozwoli mi pojechać do domu i przywieść odpowiednie akcesoria. Zgodził się i pod konwojem, który zachowywał się niesłychanie przyzwoicie, odwiedziłam swój dom na Krasynski go i wzięłam wszystko, co było potrzebne do szycia pantofli. Gdy nieszkańcy Lwowa dowiedzieli się o mojej inicjatywie, zaczęli przysyłać nam do lagru na Pełtewnej masami materiały w rodzaju koronek, szmatek, futer itp., tak że w naszym baraku pod sam sufit wznosiła się piramida najwspanialszych materiałów.

W pracowni "lalek" znalazły się m. in.: Wiesia Fiszczek (mistrzyni lalek artystycznych), siostry Nowakowskie, nazywane przez moskali "krasawice" (były b. ładne), Danuta Turczak, Jadwiga Gamska, Anna Szymczyk i inne, których w tej chwili nie potrafię wymienić. Dzięki tej pracowni i dzięki stałemu "zapotrzebowaniu" na sukienki, bluzki i lalki ze strony moskalek i moskali, żyło się nam na Pełtewnej nie najgorzej, zwłaszcza że jeden z sowieckich więźniów razem z Polakami zainstalował w naszym baraku aparat radiowy i mieliśmy na bieżąco wiadomości z frontu, a więc żyliśmy nadzieją, że wkrótce nas wypuszczą. Co się jednak stało, ponieważ 18 Polaków i jeden "ruski", Sabarowski, uciekli kanałami na Pełtewną, które odkryli podczas robót kanalizacyjnych. Za karę - po niesłychanym rwetesie (przyjechała "komisja" do znadania sprawy z Kijowa) wysłali prawie wszystkich Polaków etapem na Ural. Zanim to jednak nastąpiło - opiszę dokładniej tę historię, powrócę do pobytu na Pełtewnej: ponieważ należałam do najpopularniejszych (jeśli nie byłam najpopularniejszą) Polek na Pełtewnej, wokół której skupiali się inni Polacy, enkawudzista "polityczny", Cywulin, wołał mnie pewnego razu do siebie i zażądał, abym została kapusiem, wykazując w ten sposób wierność dla ZSSR. Oczywiście przy akopaniamencie pogróżek pod adresem mej rodziny. Gdy stanowczo odmówiłam, zaczęła się niesamowita historia: nęmal co noc "porywano" mnie z baraku na etap, i co noc zaalarmowany Dimurin wyciągał mnie z etapu! tak trwało to przez kilkanaście dni aż do kompletnego mego wyczerpania psychicznego.

I wówczas własnej postanowiono wysłać "za karę" wszystkich Polaków. Stało się to 22 listopada 1945. Gnano nas znowu przez całe miasto na Dworzec Czerniowiecki w towarzystwie konwojentów i sfory psów. Na chodnikach stali mieszkańcy miasta, wśród nich wielu krewnych więźniów, dzięki czemu dowiedziano się ~~xx~~ w mieście o naszym zesłaniu. Na dworcu czerniowieckim siedzieliśmy na ziemi przy wagonach zwierzęcych, do których ładowano po 40 osób przeciętnie. Inny konwój - etapowy - odebrał już nas z rąk konwojentów z Pełtewnej. Wówczas przechodził obok siedzących Polek Dimurin i zagadnął mnie: "Magdalena, już nie dla was nie mogę zrobić". Wtedy coś mi strzeliło do głowy i poprosiłam, aby zrobił dla nas coś jeszcze: abyśmy wszystkie Polki pojechały w jednym wagonie. Sprawa nie była prosta, bo należało przetasować wszystkie dokumenty, przekazane już następnemu konwojowi. Jednakże Dimurin zrobił to i naszą dużą grupą Polek znalazła się w jednym wagonie. Był to niewątpliwy sukces, albowiem dochodziły nas przerażające wieści o maltretowaniu się wzajemnym zwłaszcza mężczyzn, których moskale po prostu mordowali i wyrzucali potem z wagonu na śnieg. Tak skończył młodziutki Turczak.

Wagon był typowy: zamiast ubikacji drewniana rynna uchodząca na zewnątrz, w środku coś w rodzaju pieca, wokoło pod ścianami - jedna przy drugiej - więźniarki. Przez małe okienko (wagon bydłowy) niewiele można było zobaczyć. Nie było miejsca do leżenia, nie było możliwości rozebrania się czy umycia, oblaży nas wszy i gryzły niemiłosiernie, nie można było korzystać z "ubikacji", czyli drewnianej rynny, ponieważ szybko zamarzała, gdy jechaliśmy na wsch i każda z nas przeżywała nieludzkie cierpienie, nie mogąc pójść ~~xx~~ ani z moczem, ani z kałem. Była to podróż makabryczna, trwająca ~~xx~~ przypuszczalnie 3 tygodnie, bo na Ural przyjechałyśmy przed samym Bożym Narodzeniem. Najstraszniejsze były noce, gdy bowiem którakolwiek oparta o ścianę wagonu usnęła lub trwała w półświadomości, budziło ją walenie młotem w ściany wagonu. Miała wtedy taka doli-
kwenka⁺ po takim uderzeniu na tydzień dosyć. W ten sposób żołdacy próbowali, czy przypadkiem nie naruszono desek i nie próbowano

ucieczki. Karmiono nas przeważnie jakąś lurą z beczek po nafcie, tak że zjedzenie tego świństwa graniczyło z bohaterstwem. Przyjechaliśmy na Ural w głęboką zimą. Niesamowite śniegi i mróz. ~~Kiszczewicz~~ Drogi ze stacji kolejowej do obozu nie widzieliśmy, albowiem auto zakryto brezentem - i tak zajechaliśmy do tzw. Połowinki. Leżała ona w okręgu peraskim, w okolicy eksploatowanej przez budowę elektrosiłowni na rzece Kamie na środkowym Uralu. Obóz leżał w głębokim lesie na odluziu. W lesie nie widziało się i nie słyszało żadnej zwierzyny i ptaków - martwy las. Lager - wyłącznie dla kobiet - składał się z kilkunastu baraków. W każdym stary na dole i górze. Osobno "bania", osobno kuchnia - budynek administracyjny. Baraki były drewniane, wkopane w dużej mierze w ziemię, miały dwoje drzwi z dwóch stron, w środku piec. Nasza grupa - 45 Polek - dostała barak po poprzednich "lokatorkach" - Niemkach z Królewca, które podobno wróciły do domu. W innych barakach były Ukrainki, Lotyszki - pod koniec naszego pobytu jeszcze Litwinki. Spotykało się też rodowite Rosjanki, p. Olga Benoit ze starej rodziny imigrantów francuskich z Petersburga, Klaudia Kowalewa-Gruzinka-siłaczka, Eleta-Greczynka, Węgierka, Austriaczka. Do poszczególnych baraków prowadziły uliczki zrobione z pni drzewnych (jak na Polesiu). Takie same drogi z układanych podłużnie (nie poprzecznie) kilkunastometrowych pni świerkowych łączyły też poszczególne lagry i obiekty lagrowe. W barakach były potworne pluskwy, które zjadały nas dosłownie żywcem sypały się z sufitu, łaziły po wszystkich narach, stołach i drzwiach. Drugim utrapieniem były szczury, zjadające nawet kawałki mydła, trzecim prusaki, które znakomicie czuły się między deskami nar i łaziły po nas jak muchy. Początkowo nie potrafiliśmy usnąć, cierpliwie ⁺srącając z siebie pluskwy, ale po jakimś czasie przyzwyczailiśmy się do nich, ponieważ sen był mocniejszy niż odrazu. Wody w lagrze nie było. Racjonowano ją rano i wieczorem, dając do wiader "kipiatok", którego jednak nie piliśmy zbyt wiele, używając tej wody do mycia i prania. Ponieważ lager nasz sąsiadował z ~~jakimś~~ tartakiem, nasze "materace" wypchane były trocinami, które były ~~zanie~~ czyste

znacznie gorsze niż twarda podłoga. Jedzenie było straszne. Jeszcze - jak długo lager miał amerykańskie zapasy owsianki - czasem ją mogli było dostać na obiad. Przeważnie była to sama woda, w której pływały oka ryb, śmiercząca i nie gasząca ani głodu, ani pragnienia. Dwa razy dziennie dawano pajki chleba, czarnego i lepkiego, ale Polki, jako fatalne robotnice fizyczne, dostawały najmniejsze porcje, bo nie zakładały na większe.

Ratowali nas Niemcy nadwołzańscy, którzy od początku wojny niemiecko-sowieckiej zostali przesiedleni ze swojej republiki nadwołżańskiej. Sami mężczyźni wieku "produkcyjny". Przywieziono ich na Ural w liczbie kilku tysięcy. Gdy zostali zdemobilizowani - stanowili już dużą, kilkuset osobową grupę, ponieważ wszyscy inni wymarli z zima i głodu, ponieważ nie mieli na początku swej uralskiej kariery ani baraków, ani jedzenia, wyginęły wtedy wszystkie jadalne zwierzęta, ścięto wszystkie drzewa, które miały cokolwiek do ofiarowania, a więc szyszki czy takie jagody, jak jarzębina.

Ci Niemcy byli tragiczni. Jedni sprawowali funkcje lekarzy obozowych (u nas Władimir Szmid, z zawodu weterynarz, niesłychanie życzliwy dla więźniów, m. in. dla Polek, które ratował jak mógł przed trudami lagru), inny z tzw. dziesiątników, czyli kierowników brygad, którym przekazywali do wykonania odpowiednie odcinki pracy i wyceniali ich robotę. Naszym dziesiątnikiem był Kostia Szlej, niesłychanie przyzwrotny człowiek, który z narażeniem się na konsekwencje, b. przykre, ratował jak mógł Polki, widząc, że nie dają sobie rady z pracą, ponieważ ich sity. Byli to wspaniali Niemcy. Kiedyś - o czym dowiedzieliśmy się przypadkowo - policzył nam więcej odrobionej "normy", za ^{co} został ukarany odebraniem normalnego przydziału żywności.

Lager w Połowince miał dostarczać na budowę elektrosiłowni drewna w postaci bądź całych okorowanych świerków, bądź w postaci desek takich na sąsiadującym z lagrem tartaku. Polki - było nas 45 - podzielono na dwie brygady. W jednej z nich ja byłam brygadzystką. Chodziłyśmy w dzień na wyrąb lasu, na oczyszczanie drogi z lodu i śniegu, do tartaku na cięcie desek lub do ładowania olbrzymich wagonów ~~10-~~

13-metrowymi kłodami świerków lub desek na budowę elektrosiłowni. Trudno powiedzieć, która praca była "najłżejsza" - na pewno najcięższa na drodze, na której trzeba kilofami było rozбивać kilkumetrowej grubości lód - i to tak, aby nie "popsuć" tej drogi, aby olbrzymie transportowe auta (amerykańskie) nie utknęły w koleśnach. Najłżejsze było usuwanie śniegu, ale wszystkie normy były ponad nasze siły. Straszliwe było karczowanie pni zimą, gdy korzenie były twardsze niż najtwardsze szkło i nie podobna było cokolwiek z nimi zrobić piłami, notabene tak tępymi i nie nadającymi się w ogóle do pracy, że trudno opisać. Najchętniej szłyśmy na wyrąb drzew do lasu, bo chociaż nie mogłyśmy marzyć o dorównaniu Rosjankom czy Lotyszkom, to przynajmniej otoczenie drzew i długa droga tam i z powrotem łagodziła ten wysiłek, którego wymagał "lesopowal".

Bywały i lepsze dni - gdy np. posłano nas na sianokosy. Siana wprawdzie nie było niemal wcale, ale norma prześadywała 2 t dziennie na brygadę. Jak zresztą w każdym przypadku, wszędzie szachrowało się to znaczy robiło się "tuftą". Wszystko polegało na szachrajstwie. Można jednak było trafić na fantastyczne malinkniaki z owocami takimi, jakich w ogóle nigdy nie widziałyśmy w Polsce, albo na grzyby - fantastyczne podpieńki, pokrywające całe łąny, tak że rwałyśmy tylko czapeczki bez korzonków i przynosiły nasami do lagru, gdzie potem niestety dzień w dzień musiałyśmy jeść zupę, pseudozupę z tych grzybów, co nawet w lagrze na Uralu tam się przejadało. Ale zarówno maliny, jak i grzyby ratowały nas niejednokrotnie ~~życie~~ w takich sytuacjach, o których tutaj wspominać trudno, bo są tematem - rzeką.

Jak już wspomniałam lager na Uralu zaczął się od przesiedlonych Niemców nadwołżańskich. Był tam wtedy tylko las i nic więcej. Oni przygotowywali teren pod przyszłe obozy więźniów, które były rozsiane po całej okolicy. Gdy Niemców zdemobilizowano, na ich miejsce w roli kierowników robót przyszli więźniowie - Lotysze, pierwsi mieszkańcy jednego baraku mężczyźni. Byli to znakomici gospodarze i znakomici kierownicy robót. Mężczyźni piękni, ogromnego wzrostu, u siebie na Lotysze

a także najrozmaitszych "skeczów" znanych z wolności, że "naczelstwo" lagrowe wywierało presję, aby Polki urządzały "koncerty", co zresztą zdarzyło się perokrotnie. Nazywano nas w ogóle "artystkami". Nie tylko tak. Zdarzało się nam słyszeć, gdy miałyśmy w lesie np. w lesie brygadę Lotyszy, słowa: "eto ~~KS~~owsiem drugoj naród", a nasz dziesiętnik Kostia Szlej z rozpaczą w głosie zauważył raz, że jesteśmy zupełnie inne niż kobiety sowieckie. I dodał: "co ten reżim zrobił z kobiet rosyjskich?". I rzeczywiście, nasza 45 - osobowa grupa Polek, przeważnie młodych i często b. ładnych, wyróżniała się na Uralu pod każdym względem - poza oczywiście wykonaniem "normy", bo to było ponad nasze siły.

/Uwaga: życie na Uralu było tak bogate pod każdym względem, że nie można ująć tematu w sposób ankietowy. Przyp. autorki./

Jak już wspomniałam, wywieziono nas na środkowy Ural, nad rzekę Kamę, na której budowano tamę. Była to "oblast" permska. Jechaliśmy w powrotnej drodze przez Gorki i Orel, następnie Moskwę. Lager leżał w lesie w dużym stopniu już zdewastowanym, w bardzo pięknej okolicy, przypominającej nasze Beskidy wschodnie. Nie było żadnej fauny, a z flory też niewiele pozostało, bo przed nami żyli tu w prymitywnych warunkach Niemcy nadwołżańscy, którzy z konieczności wytrzebili wszelką zwierzynę i wycięli drzewa. W żaden sposób nie potrafię dziś określić położenia wielkości itp. lagru. Dochodziła do niego bocznicą kolejowa, bo znajdował się tam tartak, z którego wywożono drewno w rozmaitych postaciach. Obiekt został założony przez wspomnianych Niemców, przesiedlonych tu po wybuchu wojny sowiecko - niemieckiej. Nie było żadnych kobiet, wyłącznie mężczyźni w wieku "produkcyjnym" - naprzód przygotowywali teren, budowali baraki i drogi (ułożone z bierwion świerkowych podłusnie - nieporzecznie!), następnie zostawali "dziesiętnikami" kierującymi robotami. Wyróżniali się zdecydowanie inteligencją i pracowitością wśród ruskich. Między sobą mówili po niemiecku, rzadziej po rosyjsku.

W lagrze było kilkanaście baraków przy wyłożonych drewnem uliczkach. Mieszkały tam "polityczne" (par. 54a, zarada ojczyzny) - jak Ukrainki

Lotyszki, Polki, i "błatnyje", czyli zwykłe kryminalistki, morderczynie itp. Straszny element, dla nas stanowiący egzotyczną nowość. Praca w lagrze polegała na: "lesopowale", czyli ścinianiu ogromnych świerków (norma 6 na osobę z okorowaniem), spławianiu ich rzeką, stojąc po pas w wodzie, ściąganiu końzi z lasu, oczyszczaniu w zimę drogi z łođu i śniegu, karczowaniu pni pozostawionych przez "lesopowalczyków", sianokosach, itp. Warunki pracy były okropne, ponieważ brakło odpowiednich instrumentów, jak piły, siekiery, kilofy, a poza tym moskalki zarządzające "instrumentaalką" dawały nam najgorsze narzędzia, licząc na łapówki. Najstraszniejsze było ładowanie na tartaku olbrzymich wagonów - cystern bierwionami lub deskami tak oślizgłymi od mrozu, że całe wagony ułożonych desek rozsypywały się nam pod rękami. Gdyby nie Lotysze, którzy po Niemczech zostali kierownikami robót, nie potrafiłybyśmy nigdy wykonać robót na tartaku. Wolaliśmy las. Oczywiście w lesie nie było mowy o "normie" 6 drzew, wykonywała ją tylko jedna Gruzinka, Kława Kowalowa, której obiecywano "za to" skrócenie wyroku (20 l.). Takie stachanówki nigdy zresztą nie skorzystały z obiecanego przedterminowego zwolnienia, bo po kilku latach wykonywania normy schodziły do rzędu "dochodząców" i umierały przedwcześnie. Wydarzeń w pracy było mnóstwo: upadki z wagonów, połamane nogi (Lotyszka), porażenie prądem na tartaku itp. itp.

Do lagru w Połowince przyjechałyśmy w 45 - osobowej grupie w grudniu 1945. Była głęboka uralaska zima. Przeważały młode dziewczęta około 18- 20 lat, kilka kobiet było starszych. Prócz kilku kobiet "przypadkowych" wszystkie oskarżone o AK i wszystkie z inteligencji. /nazwiska w załączeniu/. Prawie wszystkie były ze Lwowa, 2 z Wilna, kilka z Sambora, jedna z Wisły na SXI Śląsku, jedna z Warszawy. Grupa Polek stanowiła zwartą społeczność, mieszkającą w jednym baraku. Żyliśmy bardzo dobrze z Lotyszami (gdy zamieszkali w lagrze jako kierownicy robót po demobilizacji Niemców), z trzema Węgierkami, jedną Austriaczką (Emi Rausch) i jedną Rosjanką - p. Olga Benoit. Stosunek Żydówek z "naczalstwa" do nas był poprawny i

inawet ży czliwy. Lekarz Władimir Szmid wyjątkowej uczciwości i dobrotli. Życie codzienne to od świtu do nocy praca, często i w niedziele. Rano budził nas "pudim", potem przynoszono kippiatok i przydział chleba, potem "razwod", czyli wyjście do lasu,, na tartak czy drogę - zależnie od planu. Powrót wieczorem, "zupa" i chleb - oddawanie odzieży do suszarki i rozmowy na narach, robienie najrozmaitszych rzeczy koniecznych kobiecie - i "odpoczynek", czyli twarde, nieprzytomny sen. I tak w kółko. Jedyną atrakcją stanowiła poczta i przesyłki, dzięki którym zjadaliśmy czasem coś lepszego niż wikt lagierny. Początkowo zresztą, gdy jeszcze mieli amerykańskie zapasy (konserwy i owsianka) wiat był nieco lepszy, ale skończył się b. szybko i pozostawała zawsze tylko straszna "zupa" i kawałek czarnego chleba. Niemniej, mimo okropnych warunków życia, grupa Polek trzymała się znakomicie: codziennie rano Krystyna Nowakowska odmawiała głośno litanię i śpiewaliśmy "Kiedy ranne...", wieczorem to samo i "wszystkie nasze wieczne sprawy". Poza tym powtarzałyśmy wytrwale modlitwę ułożoną w więzieniu na Łąckiego przez Lenę Terlecką: "Ufam XXXX Ci, Jezu, i wierzę w two boskie zmiłowanie, że nam okupisz winy, że się zlitujesz, Panie, że łaska Twojego serca więzienia drzwi otworzy i że wyjdziemy z ciemnicy w świat Boży...". Roskich irytowała nasza konsekwentna "liturgia", ale przyzwyczaili się do tego, że Polaczki są inne, i dawali nam spokój. Natomiast specjalnie darzyła nas przyjąłnią prawosławna Olga Benoit.

Trudno powiedzieć o jakimś wyniszczeniu psychicznym-to mogło się objawić dopiero po powrocie. Na Uralu wszystkie ~~trzykrotny~~"~~trzymają~~" "trzymały fason". Fizycznie ~~nie było~~ było na pewno gorzej: zmarło kilka, Maria Obet z Wilna, Katarzyna Kałahór ze Lwowa, Maria Horzemska z Warszawy. Ciężko na tyfus zachorowała Krystyna Rudkowska ze Lwowa /l. 18/, potem wywiązały się jej w jelitach wrzody, operowali ją żywcem /nie było narkotyków/ więźniowie - lekarze w sąsiednim lagrze męskim, po otwarciu brucha zaprzestali operacji, bo nie dawała żadnej gwarancji - i tak leżała przez szereg miesięcy pod opieką p. Olgi Benoit daleko od nas. Pożyłaliśmy kupowany za nasze

Redaktorem i wydawcą "Słowa" i innych biuletynów był medyk Stanisła Buryło, jedną z najbardziej oddanych kolporterok Roma Krzywożyńska. Znane mi są nazwiska wielu innych działaczy i działaczek, z którymi nie miałam bezpośrednio kontaktów organizacyjnych, wiedziałam jedna ze "coś" robią. Byli to m. in. : Jerzy Ruebenbauer, Martyna Puzyńska, Zofia i Alojzy Stamperowie, Drewniewscy, Regina Jurewicz, Halina z Madurowicz, Anna Myslakowska, 3 siostry Rudkowskie: Irena (medycyna), Anna (medycyna) i wspomniana już Krystyna (uczennica). Trudno wszystkich wymienić, było ich mnóstwo.

Ponowne wejście Armii Czerwonej było znów strasznym szokiem, jakkolwiek mnóstwo ludzi usiłowało przekonać społeczeństwo, że to będą już "inni" okupanci, a raczej nie okupanci, lecz sojusznicy. Wyjaśnienie nie kazało na siebie długo czekać: wielu Polaków w popłochu uciekało na zachód, wielu popełniało samobójstwa. Nastroj był okropny. Przeszli do Lwowa w lipcu - fala aresztowań osiągnęła punkt kulminacyjny w sierpniu. Mnie aresztowano 14 VIII 44, jak już wspominałam poprzednio.

Jedną z sióstr Rudkowskich, Anna, znalazła się^{nie} na Uralu, lecz na Syberii. Nie wiadomo, dlaczego zwolniono ją z lagru przed terminem i puszczono wolno wprost za bramą obozu. Ponieważ Anna wiedziała, że jej młodsza siostra Krystyna jest w Połowince, wracała do kraju takimi drogami (przeważnie cudem!), że znalazła się w Moskwie. Tam odszukała Związek Patriotów Polskich i opowiedziała jakimś "patricie", że na Uralu jest jej siostra i duża grupa Polek - i poprosił o pomoc w ich uwolnieniu. I rzeczywiście przyjechał do nas jakiś "oficer", odbył długą rozmowę wyłącznie z Krystyną R., zapowiadając powrót nasz do wspaniałej ludowej Polski. Po wizycie Rudkowska zachorowała na tyfus, a nas faktycznie w sierpniu 1948 "wyczytano" do Polski. Była to historia wręcz nieprawdopodobna, a jednak prawdziwa i świadcząca o wspaniałej postawie Anny Rudkowskiej (obecnie em. dr neurologii we Wrocławiu, Anna Brzecka). Przed naszym wyjazdem do Polski władze lagrowe zaproponowały nam dwie możliwości: **PP** przyjęcie obywatelstwa sowieckiego i wolność, albo powrót do wię-

-zienia w Polsce. Byli zaszokowani, że chórem wołałyśmy: "do więzienia! do więzienia!". Wracałyśmy (mężczyźni z innych łagrów też) przez Brześć, po drodze zatrzymując się w rozmaitych łagrach "etapowych", m. in. w Gorkim i Orle (ale to znowu temat rzeka), aż dojechałyśmy - dotarłyśmy do Brześcia, gdzie Państwo Niemieckie (a jakże!) miało już wynajęty i świetnie zorganizowany łagier dla swoich powracających z ZSSR obywateli. Rząd PRL wynajmował w tym niemieckim obozie baraki dla swoich obywateli, dzięki czemu znów "zapachniało Europą". Oczekiwanie w tym obozie było jednak potwornie denerwujące, bo i widziałyśmy, i słyszałyśmy o dalszych wywózkach Polaków na wschód. Całe ich transporty mijały się z naszym pociągami towarowymi. Nie wierzyłyśmy więc jeszcze, że naprawdę wracamy do Polski. Przekroczenie granicy 1948 było wręcz szokujące: wracałyśmy wagonami bydłocymi, ale ^{przez} szeroko otwarte drzwi patrzyłyśmy na nasze pejzaże. A właśnie całe pola tonęły w babim lecie. Takiego zjawiska nie widziałyśmy nigdy w życiu - ani przedtem, ani potem: niebo było zasłane białą siecią pajęczą. Wysadzono nas w Białej Podlaskiej. "Władze" polskie przeprowadzały ewidencję, dawały jakieś papierki, okropne łachy (rzekomo z darów amerykańskich) i trochę forsy na podróż, zresztą bezpłatną, do wybranego miejsca w kraju.

Bardzo trudna była aklimatyzacja w nowym środowisku. Czulałam się okropnie, zapomniałam nawet, jak się je czy siedzi przy stole. Nie miałam pracy, nie miałam mieszkania. Początkowo mieszkałam z rodzicami (dotychczas byli u młodszej siostry we Wrocławiu) u siostry, potem przez kilka miesięcy gdzieś kątem u znajomych, wreszcie dzięki znajomości dra Stanisława Pazyry dostałam służbowe mieszkanie Państwowego Wydawnictwa Książek Szkolnych (Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych) na Podwalu i tam przeżyłam jeden z najcięższych okresów mego życia już nie - więziennego, ale nie wolnego.

Gdziekolwiek starałam się o pracę - wszędzie "personalnymi" byli Żydzi. Bosłownie wszędzie - a sama świadomość, że o moim losie

po wojnie i po konspiracji na decydować Żyd, napawała mnie takim wstrętem i buntem, że nie umiałam sobie tej pracy znaleźć, zwłaszcza że czułam się okropnie wśród ruin Wrocławia, którego nie znałam od początku. Dzięki drowi Pazyrze otrzymałam pracę w Księgarni PZWS w Rynku, a potem dzięki prof. Stysiowi dostałam się do Ossolineum, gdzie dyrektorem naczelnym był wtedy (1951) wuj Cyrankiewicza, dyr. Szlapak, a dyr. tech. dr Julian Pelc, ossolińczyk z czasów lwowskich. Od 1951 r. do 1973 r. pracowałam w Wydawnictwie Ossolineum. Powoli przywykłam do nowych warunków, co zresztą okazało się łatwe w niesłychanie kiedyś kulturalnej i wspaniałej atmosferze Ossolineum. Ale to już - niestety - należy - do przeszłości i chyba niepozerotnej. Nie ma już takich ludzi i takiej atmosfery.

Jestem bardzo zadowolona (dzisiaj!), że byłam w więzieniu i lagrze. Poznałam mnóstwo ciekawych i często wspaniałych ludzi. Nauczyłam się wielu rzeczy, przede wszystkim ubierać się i żyć (chodzi o warunki bytowe) tak jak w lagrze: bez żadnych ekstrawagancji, skromnie i często niemal graniczących z abnegacją. Po prostu wstyd by mi było być lepiej niż żyją ci, którym los mi nie dał satysfakcji. Do dziś mam dużo przyjaciół lagrowych i więziennych, zawsze są mi bliscy i drodzy.

Oczywiście znane mi były inne lagry sowieckie, ale czas robi swoje i nie potrafię podać szczegółów. Wiem, że wspomnienia spisuje Maria Dąbrowicka-Wierzbicka (Wrocław), Mirosław Wigierski (Wrocław) Jan Wojdyła (Prudnik). Szczegóły o znanych mi więźniach w załączonej liście.

/Gd I do 10 - wprowadzone są uzupełnienia; od 10 do 20 patrzeć w załącznik, ponieważ nie wszystko jest uzupełnione/.

Ci sędziowie to byli strasznie prymitywni; bez żadnego wykształcenia, absolutnie. Oni tylko mieli pewną swoją formułkę i automat na stole, więc wiadomo było, czym to grozi.

Rozprawa to była formalność, wyrok był z góry ustalony, dostawało się 10, 15 lat i koniec. Nie było niższych wyroków. /Artykuł 54a - zdrada ojczyzny/.

Ci wszyscy dyżurni i konwojenci byli święcie przekonani, że ci, którzy zostali aresztowani są zdrajcami ojczyzny, wierzyli, że popełnialiśmy najgorsze przestępstwa. Oni byli manipulowani, naszpikowani straszliwą propagandą - "oni" tzn. my wkłuwałyśmy szpilki pod paznokcie żołnierzom sowieckim.

Dla nich słowo faszysta to było tak, jak nam powiedzieć np. belzebub, coś w tym sensie. "Ot faszysta", każdy dla nich był faszystą, to była dla nich najstraszniejsza zbrodnia. Ja kiedyś zapytałam się takiej moskalki, to już było na Uralu: Co to jest faszysta? Ona nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie, ale faszysta to jest coś, co może być najstraszliwszego na świecie. I myśmy były tymi straszonymi zbrodniarkami, nikt nam nie wierzył, że myśmy hę zabiły żołnierzy i torturowały. One za w to świecie wierzyły.

???\r\nros. wyr. Jak tam na Uralu np. kazali coś robić, jakąś ciężką pracę, a my jej nie umiałyśmy wykonać to mówiły nam "briosz", "brerzysz", że wy w Polsce nie pracowały fizycznie, nie umiały obchodzić się z siekierą, czy z piłą. Ich pojęcie o Polsce i o zachodzie było tak wyuczone z propagandy, że nie było żadnej dyskusji.^R "Ot swołocz". To my.

Jak przyszli po raz drugi to sytuacja była taka: teraz to są sprzymierzeńcy. Myśmy długo się nie łudzili. Wszystkich wyaresztować. Teśmy już widzieli jak prowadzili całą masę jeńców, polskich oficerów, którzy dali się nabrać, żeby się ujawniać, i ujawniali się. To był największy błąd.

Robiłyśmy to samo co mężczyźni. Szłyśmy do roboty kilometrami, godzinami do roboty w zimie, w śniegu - po pas. Stawiając kroki w poprzednie ślady, nocą iść przez las do roboty, to było okropne.

Nasz grupa była bardzo solidarna i bardzo ze sobą dobrze żyła. Kobiety orały pole na Syberii (p. Arzywoszyńska). Jak wróciła do Polski to chodziła jak kret, bo ciągle zapierały się ciągnąc. Człowiek sam sobie przestaje wierzyć, że to przeżył. Byli ludzie porządni jak Niemcy nadwołżańcy, Łotysze, nadzwyczajnie zachowujący się wobec nas. Ci mężczyźni piękni, wysocy; myśmy zawsze mówili, że wyglądają jak apostołowie. Łotyszki już nas nie lubiały i nie pomagały. Ci Łotysze - więźniowie byli wysiedleni z Łotwy, odznaczali się tym, że byli doskonałymi gospodarzami, doskonałymi pracownikami. Byli silni, bo to przecież chłopci, nie tacy zacofani chłopcy polscy, tacy gospodarze - bałerzy. Łotwa przecież była pod silnym wpływem Niemiec. Niemcy pierwsi tam przecież wodzili rej na Łotwie. Oni byli nadzwyczaj gospodarni, umieli wszystko zrobić i nas uczyli. Mówili "dziewuszką", weź się do tego tak, a nie tak; choćby takie karczowanie pni, myśmy tego nie umiały robić.

Było 40 stopni mrozu, korzenie pozamarzały, wszystko było niesamowicie twarde, że nie sposob tego ruszyć, piłą się nie ruszy, ani siekierą. To trzeba dopiero z fantazją podejść. Naturalnie potem nasze wiadomości z fizyki przydawały się, pomagały nam w tej pracy. Wiedziałyśmy co trzeba zrobić, żeby osiągnąć określony efekt.

Ale tak nas tego wszystkiego uczyli Łotysze, przedtem Niemcy nadwołżańscy. Np. ładowanie wagonów to była dla nas klęska, bo myśmy nie miały do siły, to wszystko się ręcznie u nich odbywało.

A wagony to nie były platformy, a olbrzymie cysterny, mają przecież szerokie tory, to sobie można wyobrazić jak to było.

Trzeba było cały taki wagon węglarki załadować 13-metrowymi drzewami. Świerki te były obślizgłe, obmarznięte, śliskie. To trzeba było przy krzyku okropnym raz dwa, raz dwa, wzięli istrzał i tak przez całą noc.

??????

Jedną Łotyszkę kiedyś przywaliłgśmy drewnem, połamało jej nogi. Łotysze nam pokazywali jak sobie tą robotę uprościć. Albo zwałało się drzewa i jedno za drugie się zaczepiło. Trząść nie ma jak, to nie jest gałąź, to jest drzewo.

Gdybym miała przeżyć po raz drugi lagier, to bym coś sobie zrobiła. Nie poszłabym, bo możnaby tylko przeżyć więzienie i lagier sowiecki tylko dlatego, że nie wiedziałe się co będzie jutro, pojutrze, jakie będzie śledztwo, jak będzie? - to można było przeżyć. Zresztą się musi, bo nie ma innego wyjścia, nie można nawet popełnić samobójstwa, nie ma jak w więzieniu. Przeżywaliliśmy to wszystko dlatego, że ze wierzyliśmy - że jana będzie Polska - tylko dlatego.

Ale tak, to żadnego doświadczenia. Ani nie będę pracowała piłą, ani siekierą, ani nie będę rozbijała na ulicach lodu, a choćby nawet, to dzisiaj nikt nie ścina drzewa taką piłą, tylko elektryczną się to robi na całym świecie. Tylko nie w Rosji. Takie przywiozłam doświadczenie, a więc żadne.

Nie było możliwości nawet załatwienia swoich fizjologicznych potrzeb w wagonie. A to już znana historia w jaki sposób, to zostało rozwiązane - to były drewniane rynny idące od wagonu na zewnątrz, ale ponieważ etap odbywał się zimą w straszliwy mróz to wszystko zamrzętało od razu i nie można było z tego korzystać. A poza tym psychiczny opór człowieka, nie potrafi się człowiek załatwiać w towarzystwie kilkudziesięciu osób. I wszy straszne, bo wagony ciągle służyły do przewożenia etapów i żołnierzy. To było wszystko tak zawieszane, że jak już przyjeżdżaliśmy na miejsce, a przez cały czas nie zdejmowaliśmy żadnej odzieży to pod pachą było ich całe grube gniazdo. Jak ześmy raz buty zdjęli, to ich nie można było włożyć z powrotem, bo nogi były tak straszliwie puchnięte, siedzieliśmy cały czas w tych butach. Do dziś się drapię pod pachą od tych wszów, bo najczęściej i najwięcej ich tam siedziało. Cała Rosja to są karaluchy pluskwy i wszy, nie ma pcheł. we Lwowie jedynie były jeszcze pchły. Tak jak te pchły mnie oblażyły w więzieniu to nie zapomnę do śmierci wyglądałam jak cebula w czerwone kropki. Te pchły zaraziły szczury a szczury ludzi. Dano mi się to we znaki straszliwie.

W tych wagonach, którymi jechali Moskale, a wśród nich jacyś nie-szczęśliwi inni obcokrajowcy, to nie daj Boże. wszystkich pierw dokądś obrabowywano, wszystko zabierano takiemu delikwentowi.

Nikt na to nie reagował, żadnych konwojentów, którzy by ratowali człowieka nie było. Mojej przyjaciółki brat /Tarczak/ nawet nie dojechał do żadnego lagru.

Tak samo było w więzieniu, były moskalki polityczne-ich było bardzo niewiele, a reszta to zwykłe kryminalistki. Te ostatnie były straszne. Słabiej zabijały siebie, szły na robotę, to po drodze, albo w czasie pracy rozwalaly kocz i koniec z takim człowiekiem. Najważniejsze jest to, że w Rosji jest pouzienny świat tj. drugi całkiem świat. To jest organizacja tak fantastyczna, że jeżeli np. z Odessy przyjeżdżają jakieś więźniarki na Ural, to już na Uralu wiedzą z tej samej mafii, że te przyjeżdżają. To jest cała mafia tak zorganizowana, że nie daj Boże, aby jakiegś krzywda jakaś się stała z tej mafii, aby nie została w tej samej chwili pomszczona. Straszne zrodziejki. To było już na Uralu. Pół baraku było nasze, a druga połowa była pusta. Właśnie miały przyjechać kryminalne tzw. "białnyje". Myśmy się tego strasznie bały, bo to między naszą połową, a ich połową tylko drewniane drzwi. I teraz jak one będą tam, a my tu, to my wogóle nie mamy co już robić. To już wszystko przepadnie. Nie będziemy miały butów, ani sukienek, nic. Noj one przyjechały. zajęły te pół baraku, przysły popatrzeć, a są one bardzo bezszczerne te mafijne "białnyje". One sobie nic nie robią z nikogo i z niczego - absolutnie. One nie mają nic do stracenia, mają tak olbrzymie wyroki, że im wszystko jedno jest. Przyszły, popatrzyły, teraz my w rozpaczy co robić na noc. Bo w ciągu dnia to pół biedy, chociaż wszystkie mogły nam pokrać w czasie dnia. My idziemy na robotę. Jedna z nas mówi żebyśmy pozasuwały drzwi ławami, jakoś żeby się zaasekurować. Na szczęście przeważyla opinia, zresztą to ja ją wysunęłam żeby przeciwnie - okazać im przyjaźń i życzliwość i tak w ten sposób udobruchać je. I faktycznie ja miałam piękne buty z cholewkami tzw. ruski fason, śliczne, brązowe ze skóry. Wszystkie moskalki szalały, bo też chciały takie mieć. One lubią się bardzo stroić. Myśmy jeszcze miały trochę sukienek i innych rzeczy, które podostawialiśmy z domu. Zagiądnięty, zaczęła się rozmowa i myśmy je

bardzo serdecznie przyjęły. Jej się podobały moje buciki, to jej pożyczym. Jej się też coś tam jeszcze podobało to i jej pożyczymy. Tyśmy je tak sobie zjednały, że potem miałyśmy konwojenki. One nas pilnowały i broniły przed jakimkolwiek atakiem z zewnątrz. Nie daj Boże żeby ktoś nam coś ukradł, albo zrobił jakąś krzywdę. One nas tam pilnowały, żeby się nic nam z tego nie stało. One były nam najbardziej przyjazne.

Nie miałyśmy żadnych bucików, dostawało się takie zrobione z-epę z opad samocnodowych; kalosze - wszystkie na jedną nogę. To się wiązało sznurkami, jakimś szmatami i tak się w tym chodziło. Ale jak się dostała woda, albo śnieg wszystko było obmarznęte, albo mokre. Wracało się z roboty skonanym ze zmęczenia, przemokniętym często do nitki, bo to były wszystkie spodnie watowane, a wszystko dostawało się z frontu brudne i zawzione. I to wszystko dawało się do suszarki - były to takie małe lokaliki, w których bez przerwy chajcowało się drewnem, tak że wszystko było w parze, ale bez przewiewu! Tak, że jak rano nas to wszystko wyrzucali na ziemię trzeba było szukać swoich łachów i brało się z powrotem mokre znowu na siebie. Bo to nie miało możliwości wyschnąć w suszarkie. Tylko się tam wszy cudownie mnożyły, bo lubią taką temperaturę.
